

ROLA

Rok IV.
Kraków, dnia 25 września 1910 r.
Nr. 39.

TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Administracya »Roli«, Kraków ulica Garncarska l. 1.
Cena drobnych ogłoszeń 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy.
Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.**

CHOLERA.

Nad krajem zawisło niebezpieczeństwo: ze wszystkich stron zbliża się ku nam niewidocznymi krokami upiór-zaraza. Jeśli dotychczas nie nawiedziła kraju naszego, to tylko dzięki temu, że nasze krajowe władze, namiestnictwo i starostwa, zwłaszcza w powiatach pogranicznych, umiały rozwinąć wielką czujność i staranność.

Niemniej można się obawiać, że ktoś zawlecze i do nas tę chorobę dziś lub jutro. Warto zatem pomyśleć o niej i o sposobach na nią.

Przedewszystkiem powiedzieć całkiem wyraźnie należy, że jest to choroba niebezpieczna, ale wyleczalna, a nadto można jej uniknąć.

Głównym sposobem walki z cholerą jest czystość; najdokładniejsza czystość domu, ciała, jedzenia, jednem słowem zupełna czystość. Źródłem choroby jest zarazek choleryczny, tak zwana bakterya. Aby człowiek zachorował musi się dostać ten zarazek, (którego gołem okiem nikt nie zobaczy, bo jest niesłychanie maleńki), do przewodu pokarmowego, a więc najpierw do ust. Gdy się to nie stanie, człowiek na cholerę nie zachoruje. Możnaby na przykład, gdyby kto chciał próbować, wysmarować sobie skórę zarazkami cholerycznymi, a pozostanie się zdrowym. Zato ktoby włożył palec zacholerzony do ust, choroba by go prawdopodobnie nawiedziła. Lekarze choleryczni, którzy opiekują się chorymi, dotykają ich, ale potem, obmywszy się w płynach zabijających zarazki, nie chorują nigdy.

Przenosi się ta choroba rozmaitymi sposobami.

Najpierw wodą. Zarazki szybko się w niej rozmnażają, podobnie jak tyfus. Niech się zatem zarazi w jakikolwiek sposób woda w studni, w stawie, lub rzece, przez to, że jakiś choleryczny chory plunie do niej albo zwymiotuje, a wtedy w krótkim czasie bakterye szybko się w niej rozrodzą i ktokolwiek tej wody się napije, nie wiedząc, że jest zakażona, uledz może chorobie. Ale jest na to rada: w czasie cholery nigdy nie pić innej wody, jak tylko przegotowaną. Bakterye bowiem we wrzątku giną odrazu, i woda, która miała masę zarazków, robi się nieszkodliwą, gdy się ją przegotuje. Oczywiście po wystudzeniu nie może się do niej dostać ani jedna kropla wody niegotowanej.

Drugi sposób rozszerzania się cholery to muchy. Cholera, jak każdy wie, objawia się tem, że chory przy gorączce wymiotuje i ma silne rozwolnienie. I w wymiotach i w kale znajdują się oczywiście miliony zarazków. Niech mucha usiędzie na nich choć na chwilę, zaraz na łapki nazbiera masę takich zarazków; potem poleci gdzieindziej, siędzie na chlebie w domu lub na owocu, człowiek zje jedno lub drugie i już może dostać choroby, bo zjadł zarazek przeniesiony przez muchę. Jest na to sposób: chronić mieszkanie od much i okrywać jedzenie, a przedewszystkiem jeść tylko gotowane lub parzone rzeczy.

Wkońcu nadmienić należy, że nie każdy musi dostać cholery. Trzeba tylko za wszelką cenę unikać dwóch rzeczy:

Nie objadać się rzeczami niestrawnemi jak n. p. szkodliwemi, niedojrzałemi owocami, jeść umiarkowanie, zdrowo i czysto. Powtóre, nie wolno wypić ani kropli alkoholu w żadnej postaci. Wszelaki spirytus, więc wódka, rum, piwo, wino, są to wszystko serdeczni przyjaciele zarazka cholerycznego. Gdzie jest w okolicy cholera, tam trzeba, aby nikt nie wypił ani naparstka okowity. Picie na »rozgrzewkę«, jak dawniej robiono, prowadzi do choroby.

W krótkich tych słowach chcieliśmy zaznajomić czytelników z tem co najważniejsze i uspokoić, by strachem nie żyli. Mamy nadzieję, że nie będziemy potrzebowali dawać rad dokładniejszych, gdy Pan Bóg łaskawie uchroni nasz kraj od tego »powietrza«. Gdyby jednak i do nas zawitał ten gość ponury, zaczniemy drukować pouczenia, które przyrzekł nam pisać umyślnie dla *Roli* pewien lekarz.

Krzyżacy na Litwie.

XLII. UCIECZKA.

Tajemniczy rycerz. — Pościg za Krzyżakiem. — Błagania Pojaty. — Smutne myśli rycerza. — Radziejko-Wszebor. — Na rozstajnej drodze. — Sundstein w kajdanach. — Polskie na Litwie powodzenia.

Jeszcze jęki nieszczęśliwej Pojaty, niknące w gęstwinie i rozpacz wołającej za nią ciwunowej, odbijały się o mury baszty, gdy rycerz błękitnej przepaski, wywiedziawszy się od przytomnych, kędy komtur obrócił, puścił się w ślad za nim. Ile tylko koń mu wierny wydołał, pędził za uchodzącym. Ujrzał go na koniec w przelocie między drzewami, ujrzał w ręku jego dziewicę, widział jej ręce w niebo wzniesione; wtenczas dobył sił ostatnich, aby ją mógł ratować. Nieraz już był tylko o kilkadziesiąt kroków od jej porywcy i mógł go śmiertelnym grotem dosięgnąć, ale lękając się o dziewicę, odrzucił ten sposób niepewny.

— Nie ujdziesz mi, nie ujdziesz, niegodny! — wołał za uchodzącym. — Poddaj się natychmiast, jeśli żyć pragniesz, albo cię mój grot*) przeszyje!

Pojata na głos rycerza zwróciła za siebie oczy.

— Ktokolwiek jesteś — wołała — nie ociągaj strzału! Wypuść grot pożądany, śmierć łaską mi będzie!

— Pani! — odpowiedział rycerz — o! gdybym był pewny mej ręki, gdybym był pewien, że trafię tylko w ciemiężcę twojego!

— Okrutny! — zawołał Krzyżak — cóżem ci uczynił, żeś się tak uwziął na moje życie? Jeśli chcesz złota, bierz je, lecz przepuść dniom moim! — i upuścił za sobą pełen trzos złota. Ale ten okup niewczesny nietylko nie zniewolił rycerza, lecz zdał się bardziej gniew jego zapalać.

— Zdrajco! — wołał ciągle, pędząc za uciekającym — oddaj mi ją, wtenczas spodziewaj się łaski.

— Nigdy! nigdy! — odpowiedział zmykający Krzyżak.

— Uderz! nie lękaj się, zaklinam cię! — wołała Pojata.

Chciał być rycerz posłusznym. Już dwakroć łuk naciągał i dwakroć go spuścił napróżno, wreszcie wziął na cel konia, wypuścił strzałę, lecz ta przeleciawszy mimo, w drzewie utkwiła. Jednakże, czyli to koń Krzyżaka bieg swój osłabił, czyli pogoń pęd podwoiła swojego, wkrótce rycerz tak się blizko do uciekającego podemknął, że o mało konia jego rzuconą włócznią nie przebił.

Ale od tej chwili wysilony koń rycerza zaczął zostawać na tyle. Napróżno pan jego wszystkich używał sposobów, aby bieg jego ożywić, nie żałował ostrogi, komtur jednak coraz bardziej się oddalał. Wreszcie w ostatnim wysiłku koń rozparł się, padł na głowę i został bez życia na miejscu.

Cóż to za srogi był cios dla obrońcy Pojaty! W jednej chwili ujrzał wydarte sobie zwycięztwo, którego się tak mężnie dobijał! Słyszał śmiech szyderski nieprzyjaciela i jęk bolesny dziewicy, a nie widział już żadnej nadziei jej wsparcia.

Komtur tymczasem, zniknąwszy mu z oczu, coraz dalej drogę posuwał. Już góry zostawione w tyle i równy gościniec bezpieczniejszej mu udzielały ucieczki. Uwolniony od nieprzyjaciela, mógł pofolgować koniowi, który był także niezmiernie zmęczony; dzień też na schyłku dozwalał mu spodziewać się, że nietylko wkrótce nie będzie potrzebował mieć się na baczności, lecz, że owszem znajdzie w wiosce jakiej bezpieczne dla siebie, Pojaty i rumaka wytchnienie.

*) Grot, spiczaste żelazo na końcu strzały lub dzidy.

Tymczasem nieszczęsny rycerz, stojąc nad leżącym swym koniem na drodze, ostatnią pożerał się rozpaczą. Nie winił on bynajmniej nieszczęśliwego kasztana, żałował go owszem, bo znał jego cnotę i wiedział, ile mu w tym dniu przysług uczynił, lecz winił los swój okrutny, który go zdradził w najważniejszej chwili. Pozierał z trwogą na wysokość słońca, mierząc myślą, ile z dnia tego czasu mu jeszcze zostaje; nadstawiał ucha czy nie usłyszy wołania dziewicy, żeby mógł zmiarkować, w którą stronę ją Krzyżak unosi; lecz słońce już się za góry spuszczało, a cichość wokoło głęboka, prócz śpiewu słowika w gęstwinie, nie dawała mu słyszeć głosu innego.

Tak pełen rozpaczy, kiedy się zastanawia, co mu czynić zostaje, wracać do baszty, lub szukać wioski jakiej lub dworu, gdzieby konia mógł dostać, słyszy tentent jego w lesie; nadstawia ucha i wkrótce spostrzega pędzącego jeźdźca ku sobie; był to Radziejko, który szczęśliwem przeczuciem, jak tylko rycerz puścił się w pogoń, dosiadłszy najlepszego z koni Habdanka, w ślad za nim leciał.

— Stój, Wszeborze — zawołał niecierpliwy młodzieniec. — Niebo cię znowu na pomoc mi zsyła. Zsiadaj natychmiast, dawaj mi konia.

— Cóż się z tobą, panie, dzieje? — zapytał poznany Wszebor, zeskakując z konia. — Czy cię Krzyżak nie ranił?

— Nie jest to czas rozmowy, choć tak wiele mam z tobą do mówienia. Jestem zdrów. Do zobaczenia!

— Ale odbierzże ten trzos złota, którym znalazł na drodze! tyś go zgubił zapewne.

— Nie do mnie on należy; zatrzymaj, coś znalazł. Bądź zdrów! — rzekł rycerz i za komturem obrócił.

Już nie dopiero zapewne domyśla się czytelnik, że rycerz z błękitną przepaską nie jest kim innym, tylko Polakiem, znanym mu w świątyni Znicza pod imieniem Trojdana. Istotnie był to młody Firlej. — Puściwszy się w pogoń, ile tylko miał siły, starał się nagrodzić czas utracony, i ślad konia uważał, a kogo spotkał, pytał o unoszącego dziewicę Krzyżaka. Dotąd mu jakakolwiek poszlaka służyła; lecz wkrótce noc, zbiegom przyjazna, przecięła jego usiłowania, a co gorsza, ujrzał się nagle na miejscu dróg kilku, które w różne rozchodząc się strony, postawiły go w okrutnej niepewności wyboru, którą ma jechać.

Chwilę tylko myślał. Puścił się w prawo, spodziewając się słusznie, że komtur brać się musi koniecznie ku brzegom Niemna, gdzie wielkie wojsko krzyżackie, pod sprawą mistrza, miało swe stanowiska. Lecz ciemność nocy była tak wielką, a droga tak mało pewną, że zjechawszy z gościńca, nieświadomy położenia kraju, błądząc noc całą po lasach, o świcie znalazł się w stronie, która mu ukazała, że nietylko nie zbliżył się do miejsca, w którem być żądał, lecz się o mil kilka od niego oddalił.

Ale daleko gorszy los spotkał komtura. Nie miał on wcale zamiaru dążyć ku stronie stanowisk wielkiego wojska, bo sam się tam nie najlepszego spodziewał przyjęcia; lękał się także nietylko polskiej pogoni, lecz każdego z Litwinów, któryby go zapewne nie szczędził, gdyby w ręku jego spostrzegł córkę swego Krywekrywejty; usiłował zatem, korzystając z nocy, ile być może, najwięcej drogi ujechać, a w dzień gdzie ukryty spoczywać.

Kiedy więc o świcie szukał schronienia, wpadł niespodzianie na oddział krzyżacki. Zrazu się ucieszył myśląc, że to jest cząstka niedobitków jego, i w tej nadziei śmiało ku niej się zbliżył, lecz wkrótce spostrzegł okropną omyłkę; prowadził ten zastęp

Ulrych, komtur mniejszy, wysłany przez mistrza dla odebrania Sundsteinowi władzy i wzięcia dowództwa nad wojskiem jego w Ponarach. Był to skutek różnych doniesień przeora o bezprawiach krzyżackiego wodza.

Nieszczęśliwe to było Sundsteinowi spotkanie. Pojmany błąkający się zakonnik z rozpaczającą w ręku niewiastą dostatecznym był dla Ulrycha powodem, aby go oddał najściślejszej straży. Wkrótce zadane dziewicy pytania, mimo jej skromności i bojaźni, wykryły jaśniej zawinienia Sundsteina, a lubo pełna dobroci Pojata strzegła się przyłożyć do okropności jego losu, nie mogła jednak, bez uwłaczania sobie, milczeniem ominąć niektórych okoliczności porwania swego i poprzednich szczegółów zatrzymania w baszcie, które dość jawnie zgadzając się z zarzutami przeora, dały Ulrychowi poznać dumne i zdradliwe zamiary Sundsteina. Wreszcie przegrana z Polakami bitwa dokonała jego potępienia. Ubezpieczywszy zatem więzami pewność jego osoby, ciągnął z nim ku górom Ponarskim, dla zebrania pod swe chorągwie reszty zniszczonego wojska. Pojatę zaś pod uczciwą strażą, dla sprawdzenia w czasie sądu Sundsteina, odesłał do Malborga, stolicy mistrza wielkiego.

Chociaż Ulrych pałał jak najgorliwszą chęcią dla sprawy zakonu, jednak jawnie spostrzegał, że czas już uszedł, w którym odpowiadając zamiarom mistrza, można było z rozgniewanej na swego pana Litwy i jej niegotowości, brać jak najświetniejsze korzyści. Teraz się zupełnie postać rzeczy zmieniła; porażone wojsko Sundsteina okazało mieszkańcom nowych i dzielnych obrońców, dając im poznać, że Jagiełło nie opuścił swojej ojczyzny, jak to wmówić usiłowali Krzyżacy. Każda chwila rodziła w Litwinach coraz żywszą przychylność dla Polaków, a dobre ich z krajowcami obchodzenie się, karność żołnierza i zabiegi Zawiszy, jeszcze trwalszemi czyniły te nowe przyjaźnie i wdzięczności stosunki.

W tym stanie rzeczy nie rozumiał Ulrych z pożytkiem swoim wstępnie stawić czoła Polakom, tembardziej, że prócz starych zakonników, ściągających się z gór pod jego zasłonę, i małej liczby rozproszonego żołnierzn, nie spostrzegał innego zasiłku z rozbitej potęgi Sundsteina. Oddział jego, z którym był wysłany, nie przenosił pięciuset knechtów, musiał tedy w nadziei znaczniejszych posiłków, po które posłał do mistrza, ciągle mieć się na baczności przeciw nieprzyjacielowi.

Tymczasem coraz smutniejsze dochodziły Ulrycha wieści. Wojska polskie, pod sprawą książąt Witolda i Skirgiełły, wkroczywszy do Litwy, starały się jak najprędzej kraj z najezdców oczyścić. Były to siły ogromne, a jeśli mnogością żołnierza nie dochodziły liczby wojsk mistrza. Andrzeja Kiejstutowicza i Świętosława, razem połączonych, miały korzyść nad niem doborem młodzieży chciwej zasłużenia się nowemu królowi i zapewnienia dla narodu swego jej życzliwości. Prócz tego, siły sprzymierzeńców, znacznie rozdzielone i odległe od siebie, niełatwo mogły się wspierać. Tymczasem na dwa główne zastępy podzielone wojsko polskie, coraz się posuwało wgłąb Litwy; jeden pod wodzą Skiergiełły, drugi pod dowództwem Witolda ku brzegom Niemna zmierzał, ażeby tę część Litwy od Krzyżaków uwolnić. Nie czekał mistrz wielki zbliżenia się nieprzyjaciela; widząc znacznie wzmagającą się jego siłę przez osady zamków litewskich, a mianowicie przez ochotnego krajowca, dał Ulrychowi rozkaz odwodu i gdy się tylko z nim złączył, niezwłocznie do krajów swoich wyciągnął.

(Ciąg dalszy nastąpi).



MACIEK BZDURA GADA:

Na wiosnę, jak nie było co jeść, to rozmaite płanetniki straszyli ludzisków kumetą, a teroz, ze Poniezus urodził zytko i zimiaki, to se wymyślili nową chorobę i nazwali ją cholerą. Ja ta w cholerę zadną nie wierzę. Tyle razy od samej maleńkości gadali mi gosposia: »Bodaj cię cholera wzięła«, a ja jesce do tego casu zyję i dobrze mi się powodzi.

Jakby jaka cholera na tem świecie była, toby ją ludzie dawno widzieli, a tu tymcasem ani ja jej nie widział, ani Bartek, ani Walek, ani Magda, ani nawet Kaśka wójtowa. Jogomość powiadają, ze cholera to jest takie choróbsko paskudne, a chyta się najprędzej tych, co duzo chlają. Eche, abo to prawda! Jakby to była prawda, toby nasego pisarza juz dawno cholera wzieła, bo on i w chałpie je i u wójtowy nieraz baniacek zimiaków dostanie. Zreśtą niechta będzie i prawda, to ja się ta bardzo nie boję, bo cy ja to taki zyrny? Ta donicka zimiaków, poskrobek chleba i misecka baszcu, toć to przecie żadne jedzenie, ino sobie ot taka pańska przekąska. A co do prawdziwego jedzenia, to cłek naprawdę ino raz na rok se poi, to jest we wiliją, na godnie święta.

A choćby to naprawdę i ta cholera była takiem choróbskiem, coby ludzi połykała, jak pirogi, to przecie z niej ludzie znowu takiego wielgiego strachu mieć nie powinni, bo są gorse cholery na świecie a ludzie się ich nie boją. Taka cholera jak o niej gadają, to przyjdzie, chapnie człowieka i kuniec, a wobec tego taki chapnięty prędzej się znajdzie u Pana Jezusa i będzie mu tam dobrze. Takiej cholery bać się nie trza. Ale jest na świecie gorsa cholera, co ją nazywają gorzołką, a tej się ludzie nie bojom. Cholera-gorzołka cłeka odrazu nie połknie, ale go dusi i męcy długie lata, póki go nie zeźre i nie udusi. A takiej cholery ludzie się nie boją.

A jesce nic sama śmierć, bo cy tak, cy siak, przecie cłek kitę odwalić musi, ale i śmierć śmierci nie równa! Jakbym umarł na cholerę, toby gazyciarze zaraz pisali, ze Wielmozny Pon Maciek Bzdura umarł na panią cholerę, a z tego byłby ino honor i sława; a jakbym się uchlał gorzały i umarł, to gazyciarze nicby o tem nie napisali, boby ich wstyd było, a jegomość powiedzieliby ino, ze Maciek Bzdura zdech, jak świnia i kuniec.

A teraz jesce insa rzec, jakbym umarł na cholerę, toby Poniezus pedzioł:

— Chodź, chodź Maciuś! Chodziłeś w cystości, umarłeś w panieństwie, a zato ci tu u mnie ani klusek, ani pirogów nie braknie; — ale jakbym umarł na gorzałkę, toby Poniezus myślał, ze ja na ziemi był jakiem kanalarzem, abo kryminalnikiem, ze tak odemnie śmierdzi i wygnałby mie na śtyry wiatry. Już ja się ta wolę bardziej bać gorzałki, jak cholery i nie pić jej, bo ni mam za co.

—x—

HISTORYA POLSKA W OBRAZKACH.

30.

Szczęście wielkie, że Zygmunt III zostawił synów, dlatego też i bezkrólewia długiego i kłótliwego nie było, gdyż syn jego, Władysław, miał już miłość i zaufanie u narodu za to, że już bywał na wojnach w Moskwie i pod Chocimem.

Władysław IV koronował się w Krakowie zwykłym obyczajem swych przodków (1633 r.), przyczem odbierał hołd od elektora Brandenburskiego, jako książęcia Prus. W czasie sejmu koronacyjnego przyszła wiadomość z Litwy, iż Sehin, hetman moskiewski, obległ wielkiem wojskiem Smoleńsk. Miasto to było już w wielkiem niebezpieczeństwie, gdyż od 8 miesięcy 100 tysięcy Moskali oblegało je, a Polacy tam zamknięci bronili się do upadłego, choć już ani żywności nie mieli, a co gorsza, ani prochu, ani kul.

Król tedy czemprędzej pospieszył na ratunek Smoleńska, chociaż nie miał więcej, jak 20 tysięcy żołnierzy. Sehin, choć z takiemi ogromnemi siłami, odstąpił od murów i stanął na polu, gdzie się rowami i wałami otoczył. Król kazał oblegać obóz Sehina, gdzie go głodem do poddania się zmusił.

Złożyli więc Moskale broń, chorągwie, armaty i wszystko, co było w obozie, a Sehin i oficerowie moskiewscy padli królowi do nóg, przepraszając za napad polskich granic.

Zaledwie ukończyła się wojna z Moskalami, gotowała się nowa ze strony Szwedów. Już król wyciągnął był z wojskiem, aby rozpędzić Szwedów, którzy pozajmowali miasta na Pomorzu i w Prusach, kiedy posłowie francuscy, angielscy i holenderscy przyjechali i zgodę zrobili, mocą której Szwedzi zostawili Polsce Inflanty po rzekę Dźwinę i miasta, dawniej zajęte, opuścili.

Dobry ten i rozumny monarcha byłby wiele dobrego zrobił i ojczyznę nam ocalił, ale nie miał siły borykać się z niezgodą, panującą wśród narodu.

Za panowania Władysława, który umarł 1648 r., zaprowadzono w Polsce poczty.



Sehin na klęczkach przeprasza Władysława.

Jeszcze Polska nie zginęła!

Jeszcze Polska nie zginęła!
Rośnie duchem, ciałem,
Wnet zasłynie, jak słynęła,
Z wolnym Orłem białym.

Marsz, marsz Narodzie,
W wolności pochodzie,
Bóg nam mocy doda,
Wstanie Polska młoda.

Jeszcze Polska nie zginęła!
Polska matka żyje,
A z jej łona życia siła
Nieśmiertelna bije...

Marsz, marsz Matrony —
Dzieci miliony,
Chowajcie miłośnie —
Niech Ojczyzna rośnie.

Jeszcze Polska nie zginęła!
Budzą się żołnierze,
Co ich ciemna noc zaspiła...
„Jadwigi rycerze".

Marsz, marsz legiony,
Szare miliony
Rycerze siermiężni,
Wolni, wszechpotężni.

Jeszcze Polska nie zginęła!
Polska szlachta żyje,
W niej odwieczne męstwo, siła,
W sercach gromem bije...

Marsz, marsz, wraz z ludem,
Wspólnej pracy cudem,
Wstanie Polska młoda,
W niej wolność, swoboda.

Jeszcze nie zginęła Polska —
Żyje Bóg nad nami,
I Królowa, Matka Boska,
Z nami Polakami.

Marsz, marsz, wytrwale
Ku wolności, chwale,
Z żywą w piersi wiarą,
W siermiędze z czamarą.

Jeszcze Polska nie zginęła
Od przemocy wroga;
Żyje duchem, jako żyła,
Nasza Polska droga.

Marsz, marsz, Narodzie,
W miłości i zgodzie,
Pierś z piersią, dłoń z dłonią
Za Orłem z Pogonią.

Jeszcze Polska nie zginęła!
Póki krew w nas tętnie,
Która z serca by płynęła
Za Ojczyznę chętnie.

Marsz, marsz, Narodzie
W wolności pochodzie,
Bóg da siłę, męztwo
Na wrogów zwycięztwo!

Jantek z Bugaja.

„Uściwy“ żyd.

Drzemała wioska, wiatr kołysał do snu drzewa, spoczęły troski i praca znojna.

Czuwała tylko zawiść głucha i nieubłagana. Szła przez pola — w osobie Mendla Bajera, skradającego się ku chacie Macieja Bruzdy, śpiącego smacznie po całodziennych trudach.

O nocy! cicha, spokojna nocy! nie gub tych, co ci ufają! Małoż tobie srebrnych blasków księżyca? Trzebaż ci jeszcze w tej uroczej ciszy krwawej łuny pożaru?...

. . . .

Maciej Bruzda, chłop jak się patrzy, trzeźwy i pracowity, siedział na kilku morgach gruntu, które, choć potem własnym je oblewał, nie starczyły mu na wyżywienie licznej rodziny. Za radą więc i z pomocą dobrych ludzi kupił sobie parę koni i w chwilach wolniejszych od zajęć gospodarskich jeździł na zarobki.

Z początku szło mu wszystko opornie, z czasem jednak, że był chłop uczciwy, ludzie przekonali się do niego i powierzali mu załatwianie rozmaitych interesów; najczęściej odbierał i przywoził dla kupców towary ze stacyi kolejowej w X.

Gniewało to niezmiernie żydowskich furmanów, a szczególniej najbliższego sąsiada Bruzdy, Mendla, który patrzył z zazdrością, jak uczciwość Macieja jednała mu coraz więcej zaufania. Mawiał więc często do sąsiadów Bruzdy z goryczą:

— Słuchał kto kiedy taką rzec, coby ladajaki cham porządnym żydom psotę robił? Ja muszę temu gałganowi urządzić taki interes, coby on mojej łaski potrzebował i nigdy sze z niej nie wykopał! Próbowałem w przyjacielstwie z nim pogadać, chciałem go nawet przypuścić do spółke!... Obiecałem mu, co będzie miał swój prefit od tego, co ja zrobię i jeszcze swoje pieniądze, to on głupi sze pitał, od czego może bicz ten prefit? Od czego? głupie pytanie!... Od kawe, arbate, cukier, szlidż, łokciówke — od wszystko, co sze kupcom wozi!... Ten głupi oszoł znowu sze pitał, jak to może bicz? Jak? Ny, ny, wielkie rzec! rozbije sze skrzynke, rozpruje sze worek i już gotowe!... Gadał, co to złodziejstwo jest! Jakie złodziejstwo?... Z rozbitej skrzynki leci towar... z rozprutego worka sypie się tyż na żemię, a jak sze sypie to co?... Ma sobie pod nogami walacz? Trzeba go zebrać! Skrzynke sze zabije, worek zaszyje i już... Kupiec ma towar, ja mam prefit i wszistko w porządku!...

Wskutek tego porządku Mendlowi wiodło się coraz gorzej, co przypisując Bruździe, postanowił uczynić go nieszkodliwym dla siebie, twierdząc, że »ten cham, to jego bolący ząb, który musi z giembe wirzucić, albo szukać jakie lekarstwo na to bolenie«.



Stanął nad nim zrozpaczony Maciej...

Mendel musiał znaleźć lekarstwo na owo »bolenie«, bo też wkrótce potem chłopu padł koń na drodze.

Bruzda boleśnie odczuł stratę poniesioną i często ze łzami w oczach powtarzał:

— Padła gadzina, niewiada kiej, a taka była robotna i zdrowa!...

— Musi urocył kto — robiły przypuszczenia wiejskie kumoszki.

— Juści ta urocył! — wzruszała ramionami Maciejowa — żydy nam konia struły i już.

— Bo nie kto — potakiwali chłopi.

— Baczcie kumotrze, bo te psiawiary i drugiego kunia wam zatracą — ostrzegał stary Grzela.

— Żeby żyd był słodziutki jak cukier, to wierzyć mu nie trzeba — dogadywali inni.

— Przyjdzie na psa mróz! — pocieszał się Maciej i z jednym koniem zaczął biedować. Podwoił energię, wystrzegał się Mendla, mimo to — w parę dni po pierwszym wypadku nastąpił drugi: ulubiony srokacz poszedł śladem swego towarzysza.

Próżno chłop cmokał, przemawiał, zacinał konia batem, srokacz nie podniósł się więcej.

Stanął więc nad nim zrozpaczony Maciej, popatrzył na wyszczerzone zęby »gadziny« i gorzko zapłakał.

Świadkiem tej sceny był Mendel, który mimo przejeżdżał z towarem. Udał zdziwienie i wykrzyknął ze źle ukrytą ironią:

— Ładny macie smak w to furmaństwo! Niech moje wrogi lepszego nie mają! Co się to kuniowi zrobiało! Pewnie, żeście go zajeździli?

Zatrząsł się Maciej na taką czelność żydowską, schwycił kłonicę z wozu i przyskoczył do Mendla.

— Siubienicniku! — krzyknął, usiłując ściągnąć żyda z bryki — raz ci za wszystko zapłacę!

— Gewałt! Co wy głupi człowieku chcecie? — wrzeszczał Mendel, wyrywając się z rąk rozwścieczonego chłopa i nagląc chude szkapy do biegu.

— Czekaj psiawiaro! Strułeś mi kunie!... widzieli cię, jakeś łaził kiele mojej chałupy. Ludzie przyświadczą!

— Co ja mam czekać? Ja prosto jadę do sądu skarżyć was o napaść, rozbójnictwo i spotwarzenie! Ja tyż znajdę moje szwiadki!

I zaczęli się wodzić po sądach. Żyda spryt i przebiegłość zatryumfowały nad dobrodusznym i nieoświeconym chłopem, który przegrał sprawę, ale sobie powiedział, że choćby miał ostatnią koszulę sprzedać, to żyda rozumu nauczy, konie kupi i towary będzie woził.

Mendel zniecierpliwiony uciekł się do ostateczności i w tym celu pewnego wieczora wyruszył z domu nibyto za interesami; w drodze skręcił do lasu, ukrył konie w gąszczach i oczekiwał głębokiej nocy. Gdy się upewnił, że wszyscy śpią we wsi, pod-

palił chudobę Macieja Bruzdy, a sam niespostrzeżenie wrócił do koni i pojechał dalej.

— On tego chciał!... — głuszył żyd sumienie, gdy spostrzegł łunę nad wioską.

. . . .

Maciej Bruzda po tylu nieszczęściach upadł na duchu i począł się zaniedbywać. Za końmi i dobytkiem poszła wkrótce ziemia, a Maciej coraz częściej zalewał robaka.

Trwało to czas jakiś.

Pewnego wieczoru, Bruzda dobrze podpity, wyszedł chwiejnym krokiem z karczmy, stanął na drodze i, podniecony trunkiem, zaczął wyśpiewywać:

Oj ty żydzie obrzydliwy, cożeś uczynił?
Uściwego gospodarza w dziadaś przemienił!

— Jaki dziad? Co za dziad? Maczej Bruzda nigdy dziadem nie buł i nie będzie! — odezwał się nagle z ciemności głos Mendla, który wracał z miasteczka do domu.

— Idź ty zydzie prec, bo ci łeb kamieniem rozbiję! — mruknął Maciej.

— Za co kamieniem?

— Zniszczyłeś mnie i pytasz jeszcze?

— Ja was zniszczyłem? Co wy wygadujecie, Macieju? — Co ja komu złego zrobiułem?

— Ho! ho! tyś bardzo uściwy! W butach sypiasz, a boso kraść chodzisz...

— Na co wy tak paskudnie gadacie, Macieju? — odezwał się przyjaźnie Mendel. — Siadajcie lepiej na brykę, to was krzynkę podwiezę.

— Wsiąść, wsiądę, ale gębą nie rusę...

— Jakbyście chcieli, tobyście mogli i z giembem ruchacz i zawsze na moje bryke jeździć...

— Niby jak? — odezwał się zaciekawiony Maciej.

— Kupiałem drugą parę koni i nie ma mi kto furmanić...

— To niby chcesz mnie zgodzić?

— Czemu nie? Ja nie jestem tak zły, jak wy macie o mnie pomyślenie. Wyście mnie włóczyli po sądach, różnie na mnie gadali, co mi się aż woda w sercu zbierała, sam nie wiem, co ze mną buło. Chciałem do was lecieć i powiedzieć: Macieju, co wy robicie? Wyście chrześcijanin, sumienie macie, a co wy ze mną, biednym żidkiem, dokazujecie?....

— Stul pysk, bo słuchać nie mogę.

— Ja mam stulić pisk? Niech będzie co chce, raz wypowiem moje bolenie!... Że wam sze nieszczęście trafiło z te szlicne wasze kunie...

— Oj, ino je było malować! — zawołał z żalem Maciej.

— To wy zaraz na Mendla z wszczekłe giembe, co un to zrobiał. Czy to ja jeden żyd na szwiecie? Prawda, że markociułem sze na was za te furmaństwo i miałem złość, żeście mi chleb odbierali, ale to buło takie zwicajne, chłopskie złość, co sze to z pięściem wali w łeb, a potem w karczmie robi całowanie — mówił żyd, udając wzruszenie.

— Już ja ci tam gęby nie podam — mruknął Maciej, spluwając.

— Ja się z wami nie chcę całować, tylko chcę wam dać uczciwie zarobić na kawałek chleba i na kieliszek wódki tyż, bo to nie pasuje, żeby taki porządny gospodarz chodziuł jak dziad po szwiecie....

Chłop, rozmarzony trunkiem i oszołomiony gadaniną Mendla, stopniowo coraz przychylniej przysłuchiwał się wynurzeniom żyda; myśl, że znowu będzie miał parę koni, choć nie swoich, zaczęła mu się uśmiechać. Zapytał więc niepewnym głosem:

— Mendel, i ty to naprawdę gadasz?

— Naprawdę! — poderwał spiesznie żyd — chcecie, dam wam zadatek.

Chłopa ogarnęło rozrzewnienie.

— Bóg ci zapłać, Mendelku, kiej mi urazy nie pamiętasz i zarobek uściwy dajesz! — zaczął płaczliwym głosem.

— Szpijcie, Macieju, szpijcie! — uspokajał go żyd, zacinając konie. — To już zrobione jest.

I tak w przykładnej zgodzie pojechali dalej: Mendel rad, że dopiął celu, gdyż nareszcie, po usilnych zabiegach, zjednał sobie Bruzdę, a przez to i liczną jego klijentelę, śmiał się w duchu z dobrodusznego chłopa i obliczał w myśli, ile mu ta spółka zysków przyniesie — a Maciej, kontent z polepszenia losu, bełkotał, zasypiając na żydowskiej bryce.

— Uściwy zyd! uściwy!...

. . . .

Księżyc z rozdartej chmury wychylił blade oblicze i, pełen jakiejś smutnej zadumy, oblewał srebrnym blaskiem siwą głowę śpiącego Bruzdy.

Czemuż nie mógł rozjaśnić umysłu biedaka i w rzeczywistem świetle pokazać mu mniemanego dobrodzieja!

Grunwald na wsi.

Szczakowa, 11 września.

By uczcić i upamiętnić tak wielką rocznicę dziejową, tysiące siół i miast urządza obchody i stawia pomniki bohaterom z pod Grunwaldu. Budzi się naród cały i zaczyna lepiej rozumieć swą dolę i położenie.

I Szczakowa urządziła w dniu 11 września 1910 wspaniały obchód grunwaldzki, który pozostanie przez swój uroczysty i poważny nastrój i ożywienie uczuć patryotycznych w długotrwałej pamięci uczestników. Rozpoczęcie uroczystości oznajmiły strzały z moździerzy i pobudka z wieży kościoła. Rannym pociągiem przybyły drużyny Sokołów z Podgórza, Krakowa z muzyką, Krzeszowic, Sierszy, Chrzanowa, nieco zaś później druhowie i druhinie z Jaworzna.

O godz. 10 powitano na dworcu gości z Królestwa i Poznańskiego. Tych ostatnich przybyło zaledwie kilkunastu, a wśród nich kilku delegatów tamtejszego sokolstwa. Władze pruskie zabroniły podobno brania udziału w tutejszym obchodzie. Zato druhowie i druhinie z za kordonu przybyli w liczbie bardzo znacznej. Następnie uformowano pochód ku kościołowi. Czoło pochodu stanowiła dziatwa szkolna z dwóch szkół tutejszych, Długoszyna i dwóch z Ciężkowic, pod kierownictwem inspektora, dyrektorów i nauczycielstwa. Za nimi banderya dziarskich krakusów, prowadzona przez kilku konnych Sokołów, a dalej szeregi Sokolic i Sokołów z dwoma orkiestrami. Następnie goście z zagranicy, Rada gminna, Towarzystwo Szkoły Ludowej, Stowarzyszenie Pań z Szczakowej, kolejarze, robotnicy z fabryki cementu i licznie zebrana publiczność z okolicy.

Nabożeństwo uroczyste odprawił ks. kanonik Skoczyński, dziekan z Jaworzna. Kazanie, pełne patryotycznego porywu, szczerze i do serca wygłosił ks. Staich z Podgórza. Przedstawiwszy znaczenie Grunwaldu, omawiał kaznodzieja wady narodu i wskazywał środki do podźwignięcia się, którymi są Bóg, oświata i praca przy harmonijnej jedności. »Chrystus nie uzdrowił chorego Łazarza, bo chciał wskrzesić umarłego«, wołał kapłan i wlewał otuchę w serca zebranego narodu z pod trzech zaborów.

Po nabożeństwie ks. Dziekan w towarzystwie ks. Staicha i katechety ks. Bachorza poprowadził pochód pod pomnik, wzniesiony niedaleko kościoła. Po odśpiewaniu przez chór kilku pieśni patryotycznych, wstąpił na mownicę i zabrał głos ks. Dziekan.

Wspominając o złości i bucie Krzyżaków, przypomniał zebranym bezczelność Prusaka, który niedaleko stąd na granicy w Mysłowicach postawił pomnik Bismarkowi. Pomnik w Szczakowej jest odpowiedzią i publicznym protestem przeciw gwałtom Prusaków. »Wiara i Ojczyzna, to hasło nasze«, skończył mowca. Następnie przemawiał prezes Sokoła, p. Bogdani, nadzarządca poczty w Szczakowej. Imieniem komitetu dziękował za tak liczny udział w obchodzie poczem oddał pomnik w opiekę Radzie gminnej. Mówił o wielkiej solidarności narodu pod Grunwaldem i zachęcał do niej w dzisiejszych czasach. Że takowa już istnieje — mówił — dowodem tego ten pomnik, rękoma włościan, robotników i inteligencyi miejscowej wzniesiony. Wspólna idea świeciła nam i zachęcała do pracy.

Następny mowca, druh Tomaszewski, nauczyciel miejscowy, szczerze, prosto, żywo i z zacięciem przedstawił historyę Krzyżaków, ich krwiożercze zapasy z narodem litewskim i polskim. »Żmiję tę — twierdził — samiśmy wyhodowali na zgubę naszą. Praca z Bogiem i miłość ku Ojczyźnie, to najlepsza broń, którą pokonamy tego gada«. Po tych przemówieniach wyruszył pochód manifestacyjny celem otwarcia ulic: Króla Władysława Jagiełły i Królowej Jadwigi.

Popołudniu o godz. pół do 4 rozpoczął się festyn, który urozmaiciły ćwiczenia druhów i druhiń. Szczególniejsze zainteresowanie budziły ćwiczenia druhiń i małych Sokołów, chłopców od lat 7 do 10. Oklaskiwano też gorąco i wznoszono okrzyki na cześć gości Sokołów z rosyjskiego zaboru, przybyłych na uroczystość.

Wieczorem odbyły się tańce i różne niespodzianki. Godzina 10 w nocy, drużyny ruszyły na dworzec, gdzie serdecznie żegnane, rozleciało się Sokolstwo do gniazd swoich, zostawiając miłe wspomnienie po sobie.

Nawiasem wspomnę, że Rada gminna postanowiła podobno uczcić czemś więcej tak drogą rocznicę, a mianowicie założeniem ochronki. Dom, dawna kancelarya gminna, wybornie położone, mogą służyć na tego rodzaju instytucyę. Oby jak najprędzej urzeczywistniono ten iście chrześcijański zamiar, oby i maleństwo miało pamiątkę tej wiekopomnej rocznicy.

Roman Józef Jamroz.

Litiatyn, pow. brzeż. 10 września.

Dnia 8 września obchodziliśmy pamiątkę świetnego zwycięztwa Polaków nad Krzyżakami pod Grunwaldem, za staraniem pp. Wojciechowskich, którzy dokładali wszelkich sił, aby ta uroczystość wypadła jak najlepiej. O godzinie pół do 10 rano, przy udziale banderyi i muzyki strażackiej z Brzeżan wyruszyła procesya z kościoła za wieś pod figurę N. P. M., gdzie ks. kanonik Konarski odprawił sumę. Po sumie wróciliśmy do kościoła i tu po odegraniu »Jeszcze Polska nie zginęła« rozeszliśmy się do domu.

Wieczorem o godz. pół do 8, przy licznem zebraniu włościan, wygłosił p. prof. Rylski mowę, w której omówił znaczenie bitwy pod Grunwaldem i zarazem przedstawił nam nasze obecne położenie. Następnie odegraliśmy sztukę p. t. »Rycerze Jadwigi«, która udała się nadspodziewanie. Odśpiewawszy: »Dręczy lud biedny«, rozeszliśmy się do domów z myślą, kiedy naszą ojczyznę, która niegdyś była tak potężną, zobaczymy wolną.

Czytelnik.

Tajemnice Morza.

(Opowiadanie profesora francuskiego).

(Ciąg dalszy).

MORZE CZERWONE.

W ciągu dnia 29 stycznia wyspa Ceylon zniknęła pod widnokręgiem. Nazajutrz, gdy »Nautilus« wpłynął na powierzchnię oceanu, nigdzie jeszcze nie widzieliśmy lądu; statek biegł ku zatoce Perskiej.

Oczywiście była to droga bez wyjścia. Dokąd nas prowadził kapitan Nemo? Nie mogłem odgadnąć. Nie zadowoliło to Kanadyjczyka, który w dniu tym pytał mnie dokąd zmierzamy.

— Ta zabawka — rzekł Kanadyjczyk — nie daleko może nas zaprowadzić. Zatoka Perska nie ma wyjścia, a dostawszy się do niej, zmuszeni będziemy wkrótce się zawrócić.

— Ha, więc się zawrócimy, mości Land, i po zatoce Perskiej »Nautilus« zechce zwiedzić morze Czerwone.

— Ależ panie — odrzekł Ned-Land — wiesz bardzo dobrze, że morze Czerwone jest zamknięte jak zatoka, skoro międzymorze Suez nie jest jeszcze przebite.

— Przypuszczam, że po zwiedzeniu tych ciekawych okolic Arabii i Egiptu, »Nautilus« powróci na ocean Indyjski i opłynie Afrykę, wpłynie na Atlantyk ku Europie.

Przez cztery dni, do 3 lutego, »Nautilus« zwiedzał zatokę Perską a dnia 5 lutego wpłynęliśmy na sławne jezioro z tradycyi biblijnych morze Czerwone, którego deszcze nie odświeżają, ani rzeki większe nie zasilają.

Dnia 9 lutego w południe kapitan Nemo wyszedł na platformę, gdzie już ja stałem. Zobaczywszy mnie, zbliżył się uprzejmie, ofiarował cygaro i rzekł:

— Cóż, panie profesorze, jak się podoba to morze Czerwone? Czy dobrze zauważyłeś pan cuda, jakie ono zawiera?

— Wszystko widziałem, kapitanie Nemo, i »Nautilus« przedziwnie nam w tem dopomagał. Ah, rozumny to statek! Ale, kapitanie, zdaje się, żeś szczególniej studyował to morze; czy więc nie mógłbyś mnie objaśnić, skąd powstała jego nazwa?

— Różne są tłómaczenia — panie Aronnax — kronikarz z XIV wieku utrzymuje, że morze otrzymało nazwę po przejściu Izraelitów, gdy Faraon zginął w falach, które się zamknęły na głos Mojżesza:

»Na pamiątkę tego cudu
Morze stało się czerwone;
I odtąd już w ustach ludu
Czerwonem stało się one«.

— Ale według mnie — mówił kapitan — nazwa morza Czerwonego jest tłómaczeniem wyrazu hebrajskiego »Edom« i jeśli starożytni dali mu tę nazwę, stało się to z powodu osobliwszego ubarwienia jego wód. Są one czerwone od koloru porostów wodnych, które tu rosną.

— Ale, panie kapitanie, wspomniałeś o przejściu żydów i o katastrofie Egipcyan; zapytam pana, czy dostrzegłeś pod wodami ślady tego wielkiego faktu historycznego?

— Nie dostrzegłem, panie profesorze, z tego powodu, że miejsce, w którem Mojżesz przechodził z całym swoim ludem, jest dziś tak zasypane piaskiem, że wielbłądy zaledwie maczają tam swe nogi, Pojmujesz pan, że »Nautilus« nie miałby tam dość wody dla siebie.

Potem rozmowa zeszła na przekop Suezki, który był wtedy w robocie, między morzem Czerwonem

i Śródziemnem, ale jeszcze nie był ukończony. Kapitan rzekł wkońcu:

— Na nieszczęście nie mogę poprowadzić pana przez kanał Suezki, ale będziesz mógł zobaczyć Port-Said pojutrze, gdy wpłyniemy na morze Śródziemne.

— Na Śródziemne! — zawołałem.

— Tak, panie profesorze. Dziwi to pana?

— Dziwi mnie przerażająca szybkość, z jaką chcesz pan w ciągu dwóch dni opłynąć Afrykę, przylądek Dobrej Nadziei i pojutrze być na morzu Śródziemnem!

— Ależ, panie profesorze, któż ci mówił o obraniu drogi naokoło Afryki?

— A przecież, jeśli »Nautilus« nie ma żeglować po lądzie lub powietrzu i przesuwać się nad przesmykiem.

— Albo też pod nim, panie Aronnax.

— Pod nim?

— Niewątpliwie — spokojnie odpowiedział kapitan Nemo. — Oddawna przyroda zrobiła pod owym językiem ziemi, który ludzie dziś przekopują, przejście podziemne, które nazwałem tunelem Arabskim.

— A czy mogę zapytać, jak pan wykryłeś ten tunel?

— Kochany panie — odpowiedział mi kapitan — niepotrzebne są sekreta między ludźmi, którzy nie mają się nigdy rozstać.

Nic nie odpowiedziawszy na to przypomnienie naszej niewoli, czekałem na opowiadanie.

— Panie profesorze — rzekł — proste rozumowanie naprowadziło mnie na wykrycie przejścia. Zauważyłem, że w morzu Czerwonem i w morzu Śródziemnem jest pewna liczba ryb najzupełniej jednakowego gatunku. Upewniwszy się o tem zadałem



... Kanadyjczyk gotów był znowu uderzyć.

sobie pytanie, czy niema połączenia między dwoma morzami? Złowiłem przeto znaczną liczbę ryb w morzu Śródziemnem, włożyłem im na ogony obrączki miedziane, i wrzuciłem je znów do morza. W kilka miesięcy później na morzu Czerwonem schwytałem kilka ryb ozdobionych moją obrączką. Miałem więc dowiedzione istnienie komunikacyi między dwoma morzami.

TUNEL ARABSKI.

Tegoż dnia powtórzyłem Konselowi i Ned-Landowi część tej rozmowy. Gdy im powiedziałem, że za dwa dni będziemy na wodach morza Śródziemnego, Konsel klasnął w dłonie, a Kanadyjczyk wzruszył ramionami.

— Tunel podmorski! — zawołał — komunikacya między dwoma morzami. Słyszał kiedy kto o takich rzeczach?

— Przyjacielu Ned — odpowiedział Konsel — a słyszałeś kiedy o »Nautilusie«? Nie! A przecież istnieje. Więc nie kwap się ze wzruszaniem ramion i nie odrzucaj dobrych rzeczy, pod pozorem, żeś nigdy o nich nie słyszał.

— Obaczymy — odparł Ned-Land, potrząsając głową.

Nazajutrz, 10 lutego, zabrawszy z sobą Neda i Konsela, wyszedłem na platformę. Przy mgle wilgotnej zaledwie można było dostrzedz brzegi w stronie wschodniej. Siadłszy na grzbiecie łodzi, gawędziliśmy o tem i owem, gdy Ned, wyciągnąwszy rękę ku morzu, zawołał:

— Panie profesorze, czy widzisz tam jakąś rzecz? Tam po prawej stronie »Nautilusa«, prawie naprost latarni. Czy widzisz pan ciemną masę, która zdaje się poruszać?

— A prawda! — rzekłem, wzrok wytężywszy — widzę na powierzchni wód długie, czarniawe ciało.

— Może drugi »Nautilus« — wtrącił Konsel.

— Nie — odpowiedział Kanadyjczyk — lecz albo się grubo mylę, lub też jest to zwierzę morskie. To nie wieloryb. Wieloryby i ja jesteśmy starzy znajomi i poznałbym zaraz ich ruchy.

Wkrótce byliśmy już tylko o milę morską od czarniawego przedmiotu. Podobny on był do dużego odłamu skały, wyrzuconego na otwarte morze. Co to było, nie mogłem jeszcze na pewno wiedzieć.

— Aha! porusza się, zanurza! — krzyknął Ned-Land. — Do stu dyabłów! Co to za zwierzę? Masz tobie! — mówił dalej Kanadyjczyk — przewrócił się na grzbiet, wymiona wygrzewa na słońcu!

— Wiem — rzekłem do Konsela — to ciekawe zwierzę, którego ledwie kilka okazów pozostało w morzu Czerwonem. To dugung.

Tymczasem Ned-Land ciągle patrzył, a oczy jego pożądliwie błyszczały na widok zwierzęcia. Ręka zdawała się być gotową do wyrzucenia harpuna.

— Ah, panie — rzekł do mnie głosem drżącym ze wzruszenia — nigdy w życiu mojem nie zabiłem jeszcze »tego«.

W tym wyrazie był cały oszczepnik.

Kapitan Nemo ukazał się w tej chwili na platformie. I on spostrzegł dugunga, a zrozumiawszy postawę Kanadyjczyka, odezwał się wprost do niego:

— Mości Land, gdybyś teraz trzymał harpun, pewnieby ci palił rękę?

— Bez najmniejszej wątpliwości, panie kapitanie.

— I nie gniewałbyś się, gdybyś mógł na jeden dzień znowu zostać oszczepnikiem!

— Wcalebym się nie gniewał.

— To możesz spróbować.

— Dziękuję, panie kapitanie — odpowiedział Ned-Land, któremu oczy zapałały.

— Ale — dodał kapitan — we własnym twoim interesie ostrzegam cię, mości Land, żebyś nie chybił tego zwierzęcia.

— Czy tak niebezpiecznie jest polować na dugunga? — spytałem, nie zważając na wzruszenie ramionami Kanadyjczyka.

— Rzeczywiście, czasami — odpowiedział kapitan. — Zwierzę to napastowane, rzuca się na łowców i przewraca ich statek. Co do kmotra Land, nie obawiam się jednak tego niebezpieczeństwa. Ma bystry rzut oka i pewną rękę. Jeśli zaś ostrzegam go, żeby nie chybił tego dugunga, to jedynie dlatego, iż uważany jest za doskonałą zwierzynę, a wiem, że pan Land nie pogardza smacznym kąskiem.

W tej chwili siedmiu ludzi z osady »Nautilusa«, niemych i obo ętnych, jak zwykle, weszło na platformę. Jeden niósł harpun i sieć podobną do tej, jakiej się używa do łowienia wielorybów. Wyjęto łódź z osady i spuszczono ją na morze. Sześciu wioślarzy siadło na ławach, a sternik u przodu. Ned, Konsel i ja usiedliśmy w tyle.

Łódka odpłynęła i szybko skierowała się do dugunga, który wówczas kołysał się na falach.

Zbliżywszy się do zwierza, łódź zwolniła biegu, a wiosła bez szmeru zanurzyły się w spokojnych wodach. Ned z harpunem w ręku stanął na przodzie przy sterniku. Harpun używany do rzucania na wieloryba, zwykle przywiązany jest do długiego sznura, który się szybko odkręca, gdy go ciągnie zranione zwierzę. Tym razem sznur miał tylko dziesięć sążni, jednym końcem przybity był do beczułki, która płynąc, miała wskazywać drogę dugunga pod wodami.

Podniosłem się z ławki i przypatrywałem się przeciwnikowi Kanadyjczyka. Ten dugung, którego miał atakować Ned-Land, był olbrzymich rozmiarów, długi przeszło siedm metrów. Nie poruszał się i zdawał drzemać na powierzchni wód, co ułatwiało polowanie. Łódź ostrożnie zbliżyła się na trzy sążnie do zwierza. Wioślarze siedzieli nieruchomi, ja podniosłem się znowu. Ned-Land, przechyliwszy się nieco w tył, wprawną ręką wywijał harpunem.

Nagle rozległo się świszczenie i dugung zniknął. Harpun silnie rzucony, widać tylko w wodę uderzył.

— Do stu dyabłów! — wrzasnął wściekły Kanadyjczyk — chybiłem!

— Nie, mości Land — rzekłem — zwierzę jest ranione, oto jego krew; ale twój pocisk nie został w ciele.

— Mój harpun! mój harpun! — krzyczał Ned.

Kilku majtków rzuciło się wpław, a sternik skierował łódź ku pływającej beczułce. Gdy wydobyto harpun, łódź sunęła w pogoń za zwierzęciem.

Dugung wracał czasami na powierzchnię, żeby odetchnąć. Rana nie osłabiła go, gdyż pędził z nadzwyczajną szybkością. Łódź dzielnie popychana wiosłami, leciała w ślad za nim. Kilkakrotnie zbliżyła się do zwierza o parę sążni i Kanadyjczyk gotów był znowu uderzyć, ale dugung wymykał się nagle zanurzając i niepodobna było go dosięgnąć. Można sobie wyobrazić złość niecierpliwego Ned-Landa. Klął biedne zwierzę najognistszemi przekleństwami, jakie język angielski posiada.

Ścigaliśmy go nieustannie przez całą godzinę i zaczynałem już wątpić czy go złowimy, gdy zwierzę wpadło na niefortunny dla siebie pomysł, zemszczenia się na napastnikach. W istocie rzuciło się na łódź, napastując nas nawzajem. Kanadyjczyk zawczasu spostrzegł ten manewr.

— Baczność! — zawołał.

Sternik szepnął słów kilka swoim dziwacznym językiem, zapewne ostrzegając swoich ludzi, aby się mieli na ostrożności.

Dugung dotarłszy na dwadzieścia stóp do łodzi, zatrzymał się i łapczywie wciągnął w siebie powietrze szerokiemi, jakby przebitemi nozdrzami, które są nie w końcach, lecz na górnej części jego pyska. Potem z silnym zamachem rzucił się na nas.

Łódź nie mogła uniknąć tego starcia, nawpół przewrócona, została zalana wodą, dzięki jednak zręczności sternika, uderzona z ukosa a nie wprost, nie zatonęła. Ned-Land, uczepiwszy jedną nogę pod belkę przodu łodzi, harpunem szpikował olbrzymiego zwierza, który, zębami schwyciwszy brzeg łodzi, podniósł ją nad wodę, niby lew schwytaną sarnę. Powaliliśmy się jeden na drugiego i nie wiem, jakby się ta przygoda skończyła, gdyby Kanadyjczyk srodze zawzięty na zwierzę, nie zakończył walki, uderzając nareszcie dugunga w samo serce.

Usłyszałem zgrzytanie zębów na blasze żelaznej i dugung zniknął ciągnąc z sobą harpun. Wkrótce jednak baryłka wypłynęła na wierzch a po kilku sekundach ukazało się cielsko zwierza na grzbiet przewrócone. Łódź zbliżyła się do niego i ciągnąc za sznur, sprowadziła go do »Nautilusa«. Trzeba było użyć bloków bardzo potężnych, żeby wciągnąć dugunga na platformę. Ważył nie mniej jak sto centnarów. Tegoż dnia sługa okrętowy podał mi na obiad kilka zrazów z mięsa dugunga, wybornie przyprawionych przez miejscowego kucharza. Były wyborne, lepsze nawet od polędwicy najtuczniejszego wołu.

Wieczorem, gdy stałem na platformie, przyszedł kapitan Nemo i rzekł:

— Jeśli raczysz pan zejść stąd, »Nautilus« zanurzy się pod wodę i nie wprzód wypłynie na powierzchnię, aż przejdzie przez tunel Arabski.

Poszedłem za kapitanem Nemo. Sciana się zamknęła, zbiorniki napełniły się wodą i statek zanurzył się w głębokości dwunastu metrów.

Kiedym już chciał wracać do swego pokoju, kapitan mnie zatrzymał.

— Panie profesorze — rzekł — czy nie zechcesz pójść ze mną do klatki sternika?

— Nie śmię o to prosić — odpowiedziałem.

— Więc chodź pan. Tym sposobem zobaczysz wszystko, co można widzieć w tej żegludze zarazem podziemnej i podmorskiej.

Kapitan zaprowadził mnie ku schodkom środkowym. Przeszedłszy połowę schodów, otworzył drzwi, wstępował na górę wzdłuż statku i tak doszedł do klatki sternika, na końcu platformy.

Był to pokoik, mający po sześć stóp z każdej strony. Cztery okienka z szybami soczewkowemi utkwionemi w czterech ścianach, pozwalały sternikowi patrzeć we wszystkich kierunkach. Pokoik ten był ciemny — wkrótce jednak oczy moje oswoiły się z tym mrokiem i spostrzegłem sternika, krzepkiego chłopa, którego ręce opierały się na dzwonach koła.

Posuwaliśmy się z godzinę, ledwie na kilka metrów oddaleni od tej ściany skalistej. Kapitan Nemo nie spuszczał oczu z igły magnesowej. Na jego poruszenie ręki, sternik co chwila zmieniał kierunek »Nautilusa«. O kwadrans na jedenastą kapitan Nemo sam stanął przy sterze. Przed nami otworzyła się szeroka, ciemna i głęboka galerya. »Nautilus« śmiało rzucił się w tę przepaść. Po jego bokach dał się słyszeć szum niezwykły. To wody morza Czerwonego pochyłością tunelu pędziły do morza Śródziemnego. »Nautilus« leciał w tym prądzie z szybkością strzały. O trzydzieści pięć minut na jedenastą kapitan Nemo odszedł od koła przy sterze i rzekł:

— Morze Śródziemne!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z TYGODNIA.

Sejmowa reforma wyborcza. Dnia 11 b. m. obradował we Lwowie subkomitet komisyi reformy wyborczej. Najpierw naradzano się nad kuryami: wiejską i wielkiej posiadłości. Co do kuryi wiejskiej odrzucono żądanie podzielenia jej na dwa koła wyborcze, odrzucono także pluralność. Co do kuryi większej posiadłości odroczono na razie kwestyę, o ile kurya ta ma być rozszerzona. Uchwalono dołożyć starań, aby reforma wyborcza podczas tej sesyi została uchwalona.

Rozdział subwencyj hodowlanych. Pisaliśmy przed kilku miesiącami, że rząd wiedeński przyznał rolnikom 5 milionów na cele hodowli bydła za szkody, które rolnicy ponieśli wskutek otwarcia granicy dla mięsa rumuńskiego i serbskiego. Na Galicyę przypada z tej sumy kwota 1,400.000 koron. W sprawie tej zebrała się w zeszłym tygodniu narada wysokich urzędników ministerstwa rolnictwa i delegatów Towarzystw rolniczych galicyjskich polskich i ruskich. Rząd zawiadomił, że ma zamiar w następujący sposób rozdzielić wymienioną sumę: na melioracyę pastwisk 400.000 kor., na zakład ubezpieczenia bydła 200.000 kor., na podniesienia mleczarstwa 180.000 kor., na zakupno premiowanych buhai 120.000 kor., na organizacyę zbytu bydła 130.000 kor. Pozostała reszta w kwocie 400.000 kor. miałaby być rozdzielona między Towarzystwa rolnicze w kraju zarówno polskie jak i ruskie, na cele urządzenia stajen wzorowych, na używanie nawozów sztucznych, oraz wzorowe gnojownie, na dostarczanie maszyn mleczarskich, na kontrolę mleczności krów, na wędrowną naukę rolnictwa, na poprawę roślin pastewnych i na gazety rolnicze.

Po tem przedstawieniu sprawy różni mowcy wyjaśniali, co im się podoba w tym projekcie a co nie i na tem się rozeszli. Rząd przyrzekł, o ile będzie mógł, uwzględniać to, co mu na zebraniu powiedziano. Uchwał żadnych nie powzięto, gdyż zebranie zwołano tylko dla wzajemnego wypowiedzenia swoich przekonań.

Zebranie posłów ukraińskich odbyło się 8 b. m. a gazety ruskie ogłaszają, co na nich uchwalono. Mianowicie powiedziano tam, że »naród ruski jest ciągle jeszcze uciskany przez Polaków i rząd«, za co posłowie prowadzić będą zaciekłą wojnę z oboma. Rusini domagają się założenia ruskiego uniwersytetu we Lwowie, założenia wielu szkół gimnazyów i szkół realnych, dalej więcej pieniędzy na cele rolnicze i hodowlane i, jak powiadają, »równouprawnienia w sądownictwie«. Są ludzie, którym ciągle mało, choć im się coraz więcej daje. Takimi są właśnie Rusini.

Do Argentyny wyjechała z Wiednia komisya złożona z urzędników ministerstwa, aby zbadać, czy nie dałoby się sprowadzać stamtąd mięsa i zapobiedz tem drożyźnie i brakowi mięsa w Austryi. Argentyna posiada na swoich ogromnych stepach niezliczone mnóstwo wołów, których wypas trawą mało kosztuje, dlatego bydło jest nader tanie. Mięso do Europy przychodzi okrętami, zamrożone. Niedawno przywiózł jeden z okrętów Austro-Amerykany taki transport i mięso okazało się średniego gatunku a zato bardzo tanie, o połowę tańsze niż to, które sprzedają nam nasi panowie rzeźnicy.

Rząd węgierski starał się w Paryżu o wielką pożyczkę, ale nie chcieli jej użyczyć tamtejsi bankierzy, a i rząd francuski przeszkadza. Podobno jest w tem ręka Rosyi, która wszystkie wolne pieniądze, które znajdują się we Francyi, woli pożyczyć dla siebie i wyzyskuje przymierze, jakie ma z Francyą.

KRONIKA.

Pomnik grunwaldzki w Szczakowej. Na stronicy 6 dzisiejszego numeru podajemy barwny opis uroczystości grunwaldzkiej, nadesłany nam przez naszego przyjaciela p. Romana Jamroza. Na tem miejscu umieszczamy podobiznę pomnika grunwaldzkiego, którego fotografię otrzymaliśmy również od p. Jamroza. Pomnik ten został wzniesiony wspólnymi siłami włościan, robotników i inteligencyi miejscowej. Jest on zbudowany z kamieni i cementu. Cały wygląd pomnika na malowniczem tle jest bardzo poważny. Omszałe i zwietrzałe kamienie łączone są warstwami zielonego mchu, co nadaje mu wygląd bardzo pięknego starego zabytku. Miła to rzecz i bardzo pocieszająca, że społeczeństwo nasze uświadamia się coraz bardziej narodowo, a wyraz tego daje w trwałych pomnikach.



Cesarz kumem chłopa. W dniu urodzin cesarskich, 18 sierpnia b. r., urodziło się włościaninowi maryampolskiemu w powiecie stanisławowskim, Ołeksie Czernichowskiemu, dziecko płci męskiej. Z powodu tego Czernichowski wpadł na oryginalny pomysł zaproszenia cesarza Austryi na kuma. Odpowiednie też zaproszenie wysłał pod adresem cesarza w języku niemieckim List ten otrzymała kancelarya cesarska, która zwróciła go ministerstwu spraw wewnętrznych. Zwykłą drogą, przez Namiestnictwo, otrzymało starostwo stanisławowskie polecenie zbadania stanu rzeczy i o ile to wszystko jest prawdą, dostanie Czernichowski podarunek od cesarza. Na chrzciny chyba cesarz przybyć nie może, bo to trochę zadaleko na jego stare lata.

Ładne porządki na kolei. Przed dziewięciu dniami przybył do Jarosławia arcyksiążę Fryderyk. Wóz salonowy, którym przyjechał i nocował, zaciągnięto na tor w pobliżu śmietniska. Wieczorem arksiążę, stojąc obok salonki, uczynił krok w bok i wpadł do cuchnącego rowu, czapka jeneralska zaś zanurzyła się w błoto. Na szczęście rów nie jest głęboki i skończyło się na powalaniu obuwia i zniszczeniu czapki. Do wypadku przyczynił się również brak potrzebnego oświetlenia; na tej części stacyi ciemno było jak na pustyni. Wypadek ten narobił wiele hałasu. W przeciągu kilku godzin w nocy ułożono pomost z desek nad rowem na długości kilku metrów i dano baryerę drewnianą, aby nie powtórzył się wypadek.

Wielki pożar. Z Grybowa piszą nam: Dnia 3 b. m. o godz. 12 w południe wybuchł pożar we wsi Biała niżna, obok Grybowa, w domu Matuły. Zgorzały budynki i ziemiopłody, ubezpieczone na 15.000 kor. w Tow. krakowskiem. Że pożar nie zniszczył całej wsi, zawdzięczać należy energicznej akcyi ratunkowej naczelnika stacyi kolejowej p. Jana Milerocha, który przybył z sikawką kolejową, a spuściwszy staw kolejowy, umożliwił nadzwyczaj akcyę ratunkową.

Ofiara wódki. Dnia 4 b. m. rano znalazła służba kolejowa we fosie, przy torze kolejowym w Kasinie wielkiej, zwłoki Jana Jarczyka z Woli skrzydlańskiej, który wedle sprawdzenia, wracając w nocy torem kolejowym z Mszany dolnej po pijanemu do rzeczonej miejscowości, został przez pociąg przejechany. Obdukcya zwłok wykazała złamanie 4 żeber i pęknięcie czaszki.

Banda cygańska. Z Tarnopola donoszą, że żandarm Biłous natrafił na część bandy cyganów, która grasowała na Podolu, kradnąc konie i inne przedmioty. Udało się aresztować w Białej pod Tarnopolem 4 cyganów: Janosza Knapeka, Teodora i Piotra Korpaczów i Józefa Horniaka. Poszukują jeszcze za hersztem bandy Kandinokalem Poradi. Skonfrontowano Korpacza z karczmarzem w Ostrowie, Bienem, a Bien poznał złodzieja po srebrnych ostrogach. Bien w dobrej wierze zamieniał konia swego z cygańskim. a tymczasem wyszło na jaw, że koń ten należał do jednego z gospodarzy w Uciszkowie pod Złoczowem. Aresztowano także cygankę, Annę Goman i 4 wozy z dziećmi i rupieciem. Cyganie wypierają się winy. Osadzono ich w aresztach.

Śmiertelny postrzał. Obok wsi Suszna, koło Kamionki Strumiłowej, zastrzelił słuchacz teologii gr. kat. Semen Szewczuk, włościanina Pawła Sałahuba z Ordowa. Szewczuk bawił obecnie w Ordowie na wakacyach u swych rodziców. Zabójca przybył sam do sądu w Radziechowie i powiedział, że strzelał w nocy, obawiając się napadu ze strony Sałahuba, którego nie poznał. Ów Sałahub miał biegnąć za furą z pałką w ręku. Szewczuk jechał właśnie na tej furze. Sąd wdrożył śledztwo, a tymczasem Szewczuka uwięziono.

52 lat w łóżku. W schronisku dla nieuleczalnych w Warszawie zmarła w tych dniach 83-letnia Karolina Chreptowiczowa, która uległszy w 31 roku życia paraliżowi, przez 52 lata przeleżała w łóżku.

Mimowolny dzieciobójca. Smutny wypadek zdarzył się w Zabrzu na Śląsku pruskiem w składzie rzeźnika Sewiczka. Czeladnik zatrudniony był tam czyszczeniem mięsa, gdy nagle spostrzegł psa w składzie, który chciał rzucić się na niego.



Aby psa odpędzić, rzucił nożem, lecz niestety chybił celu, natomiast nóż uderzył w brzuch 8-letnią córeczkę górnika Bomby, wstępującą w tej chwili do składu. Dziecko odniosło tak ciężkie pokaleczenie, że wnętrzności wypłynęły. Lekarz był natychmiast na miejscu wypadku i kazał dziecko odstawić do szpitala, ale tam dziecina zmarła. Czeladnik jest niepocieszony po tym wypadku, ale najstraszniejszą jest boleść rodziców, którzy stracili jedyne dziecko.

Niemądry zakład. W pewnej oberży w Gliwicach, na Śląsku, stanął pomiędzy dwoma kupcami niemądry zakład. Jeden z nich twierdził, że w dwóch godzinach wypali 6 papierosów i 10 cygar. Lecz jeszcze nie dopalił siódmego cygara, gdy nagle stracił przytomność i runął na ziemię omdlały.

Śmierć w kancelaryi. Bywają figle nieszkodliwe, a zatem godziwe i nawet dobre, bo rozweselają ludzi. Bywają też tak złośliwe, że przykrość i szkodę przynoszą. Te są złe i potępić je zawsze należy. Ale bywają i takie, które na razie sprawiają wielce niemiłe wrażenie, a wkońcu ten sam, na kogo były wymierzone, śmieje się z nich razem z innymi. Do takich należy właśnie następujący żart.

W pewnej niemieckiej szkole realnej był sobie poczciwy woźny, którego chłopaki, studenci, bardzo lubieli, ale zawsze sobie żarty z niego stroili. Pewnego wczesnego poranka wszedł ten woźny do kancelaryi dyrektora, aby posprzątać, jak to codziennie czynił. Na progu stanął z przerażeniem, jak wryty, ujrzał bowiem siedzącą przy biurku dyrektora... śmierć! Siedziała i pisała coś pilnie po papierze.



Biedny woźny rzucił się do drzwi i pędem pobiegł na drugie piętro do mieszkania dyrektora, wołając co miał siły:

— Dla Boga! Śmierć siedzi u pana dyrektora!

Zbiegła się do kancelaryi wszelka żywa dusza z całego gmachu szkolnego. Przyszedł dyrektor, jego żona i dzieci, tak samo rodzina woźnego i parobcy szkolni. Dyrektor jednak zobaczywszy ową śmierć, nic się nie zastraszył, tylko podszedł do biurka stołu i popatrzył, co też ona gnatem swoim pisze po papierze? Przeczytał on potem głośno:

— Znudziło mi się stanie w szafie i poszłam sobie na spacer. Dziś nikogo nie zabiorę, bom w dobrym humorze, ale jak mię Michał znowu wsadzi do szafy, to się zgniewam i drugi raz wyjdę jeszcze, ale już po niego...

Michałem nazywał się ów woźny, a w szafie stał zazwyczaj ten kościotrup na to, aby profesorowie uczniom pokazywali na nim, jakie kości ma w sobie człowiek. Któryś z uczniów dał pomysł ustrojenia żartu z Michała, parę chłopaków zakradło się wieczorem do kancelaryi, wyjęli kościotrup z szafy i posadzili go przy stole a na papierze wypisali to, co przeczytał głośno dyrektor. Oprócz tego przybili na szafie kartkę z napisem »Mieszkanie do wynajęcia«, nibyto, że szafa jest mieszkaniem, do którego śmierć wracać nie chce, więc można wynająć innemu.

Rabinom dobrze się dzieje. Przez Budapeszt przejeżdżał »rabin-cudotwórca« z Husiatyna, Bertold Friedmann. Sposób, w jaki Friedmann podróżuje, wzbudził w Budapeszcie ogólny podziw. Rabin, mężczyzna około 50 lat liczący, zajął cały szereg pokoi w pierwszorzędnym hotelu i płacił za mieszkanie po kilkaset koron dziennie. Podróżuje on z córką, a służba jego składa się z 2 sekretarzy, 3 pokojówek, kucharki, oraz rzeźnika. Nadto wiezie on ze sobą dwa osobne wagony, wypełnione naczyniami kuchennemi i zastawą stołową specyalnie tylko dla niego, tudzież dla córki i służby przeznaczoną. Przejazd Friedmanna przez Budapeszt wywołał prawdziwą rewolucyę wśród żydów w Budapeszcie, którzy oblegali hotel, prosząc o radę, bądź o wsparcie.

Rok żałobny w Watykanie. W roku 1871 wojska włoskie wtargnęły do Rzymu, gwałtem zniosły państwo kościelne, którego monarchą był Ojciec św., a król włoski ogłosił, że bierze Rzym za swą stolicę. Obecnie, jak donoszą z Rzymu, Ojciec św. Pius X miał postanowić na znak protestu i żałoby z powodu przypadającej 40 rocznicy zajęcia Rzymu przez wojsko włoskie, aby w ciągu całego roku przyszłego, 1911, nie były urządzane żadne pielgrzymki do Rzymu, jak również, że w ciągu roku tego nie odbędzie się żaden konsystorz, ani też żadna beatyfikacya. Z tego powodu nominacya nowych kardynałów nastąpić ma już w listopadzie lub grudniu b. r.

Balon Zeppelina znowu się spalił. Niemcy nie mają szczęścia. Wydają masę pieniędzy na balony, a ciągle im się coś nieszczęśliwego przytrafia. Zato francuskie aeroplany są coraz lepsze i coraz śmielej na tych maszynach latają ludzie po powietrzu. W ostatnich czasach udało się latać na wysokość 2000 metrów! Aby sobie to przedstawić, należy pomyśleć, że największych kilka kościołów na świecie ma niewiele więcej jak 100 metrów wysokości.

Co snopki, to nie parlament. Jeden z posłów rosyjskich, włościanin z guberni podolskiej, po powrocie na letnie wywczasy do wsi Cz. w pow. mohylewskim, miał nieprzyjemne zdarzenie: przyłapano go na kradzieży świni u jednego z sąsiadów. Chłopi odebrali świnię, poturbowali posła, ale z uwagi na piastowaną przezeń godność, sprawy nie skierowali do sądu. W kilka dni potem pan poseł poszedł na robotę do pewnego ziemianina. Kazano mu podawać snopki do młocarni. Ale skoro, czy to skutkiem przyrodzonego lenistwa, czy też z uwagi na wysokie stanowisko, nie bardzo kwapił się do pracy, zirytowany dozorca krzyknął: »Tutaj tobie nie Duma. Rób lepiej«. W lot pochwycili to parobcy i zaczęli posłowi dokuczać, przedrzeźniając: »Tutaj nie Duma«. Urażony tem poseł, coprędzej opuścił robotę.

Niebywały dziwak. Obok wstrzymania się od trunków, gry w karty i tytoniu, przestał literat ruski p. Szpytko także... mówić! — a krok swój tłumaczy w ten sposób:

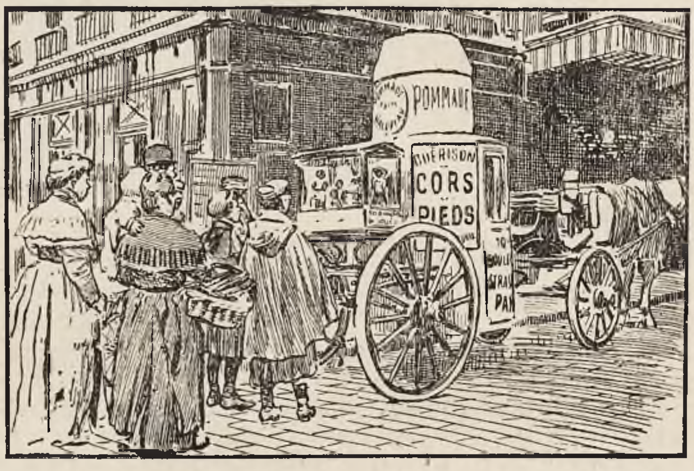
— Uważam się od dziś za istotę niepotrzebną, niezrozumianą, zupełnie obcą, za istotę bez pretensyi, bez ojczyzny, bez celu. Nikt nie istnieje dla mnie, ani też ja dla nikogo. Nie mam znajomych, przyjaciół, nie mam dziś i wrogów.

Potem następuje coś w rodzaju testamentu: przebaczenia nieprzyjaciołom, a pozdrowienie przyjaciołom, którym obiecuje o przyczynie tego kroku odpowiedzieć książką. A więc nie umilknie całkowicie, bo pozostało mu jeszcze pióro, z którego, jako zawodowy literat, chyba będzie umiał korzystać. Zdaje się, że u pana literata, coś... nie tęgo... w głowie. Ale czyby to nie dobrze było, żeby za jego przykładem poszli niektórzy nasi krzykacze wiecowi?

Pchły i szczury w Paryżu. Najnowszą plagą Paryża, na którą coraz głośniej skarżą się pisma i ludność, są szczury i robactwo. Niektóre dzielnice, jak np. Montparnasse, są poprostu nawiedzone najazdem szczurów i pcheł. Walka ze szczurami jest łatwiejsza, dzięki pomocy kotów i trucizny. Ale przeciw robactwu niema żadnego środka skutecznego, zagnieździło się zaś ono nietylko w domach prywatnych, lecz również w muzeach i galeryach, trapiąc zarówno mieszkańców stałych, jak osoby przyjezdne. Plaga stała się tak nieznośną, że uczeni zajęli się badaniem jej przyczyny i obmyśleniem środków tępienia, a przerażeni Paryżanie głośno przyzywają pomocy rządu. Naszem zdaniem, przyczyną takiej ilości robactwa, to niechlujstwo, a najłatwiej je wytępić czystością i schludnością.

Straszna zemsta. W Vallorbe, w kantonie szwajcarskim Waadt, skazano robotnika Grobeta na 10 miesięcy więzienia za spotwarzenie rodziny restauratora kolejowego Andre. Od chwili tej żywił przeciwko Andremu i rodzinie jego uczucie nienawiści i pałał chęcią zemsty krwawej. Wreszcie dnia 1 b. m. przybył na stacyę uzbrojony w strzelbę i zastawszy przy bufecie samą panią Andre, strzelił do niej, a widząc, że jest tylko ranioną, rzucił się na nią i poderżnął jej nożem gardło. Zwabiony wrzawą, wpadł do sali kucharz, 22-letni Włoch, Ferrero. Grobet rzucił się na niego i przebił mu nożem piersi. Tak samo zranił ciężko w bok uderzeniem noża nadbiegłego na pomoc młodego Niemca, poczem drugim wystrzałem ze strzelby odebrał sobie życie.

Teatr na kółkach. Wiadomo, że kupcy po wielkich miastach wymyślają coraz to nowe sposoby, aby zwrócić uwagę na swój sklep i podać ochoty publice do kupowania ich towarów.

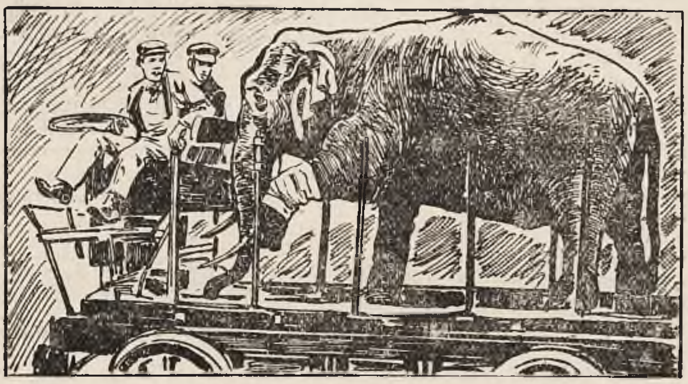


Niedawno jeden z fabrykantów wymyślił taki sposób: Zbudował budkę z desek, oprawił na kółka, z tyłu urządził mały teatrzyk lalek (taki jak szopka krakowska) a we wnętrzu budki umieścił człowieka, który lalkami kieruje i za nie gada. Cała zaś buda obmalowana jest ogłoszeniem o wyrobie tego fabrykanta, (nawiasem mówiąc, fabrykuje on lekarstwo na odgniotki na nogach). Ludzie z ciekawości zbierają się i przysłuchują słowom lalek w teatrzyku ruchomym, a mimo woli ten i ów spojrzy na ogłoszenie fabrykanta i dowie się o lekarstwie.

Ciekawe zestawienie. Pewien angielski uczony zajął się rozwiązaniem pytania, co można zrobić za pieniądze, wydane na budowę jednego pancernika, obliczaną przeciętnie na 50 milionów koron. Można więc za pieniądze te zbudować 10 zakładów naukowych dla 10 tysięcy uczniów, z bibliotekami, czytelniami, muzeami i t. p.; można stworzyć kolonię z 10.000 wygodnych, czystych i hygienicznych domków, dla dwóch rodzin każdy, przyczem komorne nie przekraczałoby 250 koron rocznie. 158.846 starców otrzymaćby mogło za wartość jednego pancernika, który tak łatwo może pójść na dno, bezpłatne przez cały rok mieszkanie, pożywienie, odzież, pomoc lekarską itp. Możnaby dalej zbudować 130 domów dochodowych ze sklepami, składami i biurami; budowa domów takich pokryłaby się w ciągu 7 i pół lat. Wreszcie 176 000 bezdomnych dzieci otrzymaćby mogło, do dojścia do pełnoletności, opiekę i wykształcenie zawodowe, któreby z nich zrobiło pożytecznych członków społeczeństwa. Oto jakiego rozmaitego rodzaju dobrodziejstwa wyświadczyćby można za cenę jednego tylko pancernika. Jakby to dobrze było, gdyby pomiędzy ludźmi na świecie zapanowała taka zgoda, aby nie potrzeba było wojska.

Matuzalem. W starych kronikach szlezwicko-holsztyńskich odkrył pastor Stobbenberg podobiznę jakiegoś starca we futrze owczem i zielonej czapce. Na odwrotnej stronie obrazu podane było nazwisko starca, którym był niejaki Christen Jacobsen Drakenberg. Metryki wykazały, że starzec ten umarł mając 145 lat, 11 miesięcy i 21 dni w miejscowości Aarhus. Urodził się 18 listopada 1626 roku, umarł zaś 9 października 1772 roku. Jako syn kapitana poświęcił się służbie na morzu i brał udział w wojnach morskich. W r. 1694 dostał się w ręce algierskich rozbójników morskich, którzy go sprzedali jako niewolnika. Po 25 latach, już jako 84-letni starzec, umknął z niewoli i bił się ze Szwedem. Ostatnie lata przepędził u rozmaitych dobrodziejów. W 111 roku życia ożenił się z 60-letnią niewiastą, ale już w następnym roku owdowiał. Mając 130 lat zamierzał Drakenberg ożenić się po raz wtóry, ale wtedy już go żadna nie chciała.

Chory słoń. Niezwykły przedmiot wieziono niedawno samochodem w Ameryce północnej. Do pewnego miasta przyjechał wielki cyrk, w którym były różne zwierzęta. Był też i słoń, stworzenie mądre a pilne, zatem pomagał swą ogromną siłą przy budowie cyrku; znosił deski, ciągnął ciężary itp. Przy takiej okazyi skaleczył się mocno w lewą nogę i musiano ją obwiązać, aby krew nie uchodziła.



Rana jednak zaczęła się jątrzyć i okazało się, że trzeba zrobić operacyę. W mieście weterynarza nie było, a słoń nie mógł chodzić. Zamówiono zatem wielki samochód do wożenia ciężarów, umieszczono na nim słonia i tak powieziono go do weterynarza w większem mieście, o kilka mil. Ludzie tłumnie po drodze przystawali, oglądając dziwny transport.

Biedny słoń trafił na ludzi, którzy niepomni na koszta chcieli go ratować, ale ileż to jest ludzi, którym niema kto pomocy udzielić.

Dowcipny złodziej. Ludzie, którym nie chce się pracować, wymyślają najrozmaitsze sposoby, aby łatwo módz zdobyć grosz na kawałek chleba. I choć człowieka gniew zbiera na nieuczciwość ludzką, przecież śmiać się musi z figlów złodziejskich. O takim figlu piszą gazety poznańskie co następuje: Kupiec korzenny w pewnem mieście, by zwabić kupujących, wywieszał codzień za szybę swego sklepu kartę z napisem: »podobna jak dziś sposobność nigdy się nie zdarzy!«

Razu jednego, zawołany przez żonę na górę, wyszedł do niej pospiesznie, zapomniawszy zamknąć szufladę biurka, gdzie się znajdowała jego kasa. Skorzystał z tego jego posługacz i zabrał mu pieniądze. Chcąc jednak zażartować sobie z nieostrożnego, pozostawił w szufladzie w miejsce banknotów arkusz papieru, na którym złośliwie skreślił następujące słowa: »Podobna jak dziś sposobność nigdy się już nie zdarzy!«

Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.

(Nadesłał Piotr Lipowiak z L.).

Czy mnie czytasz z tyłu, czy mnie czytasz z przodu —
Zawsze moje imię żydowskiego rodu.

2. SZARADA.

(Nadesłał Jantek z Bugaja).

Pierwsze: to. Znowu co zaś do drugiego
Mówim, gdy dajem komuś coś takiego.
A całość imię wielkiego świętego,
Co z Redakcyą *Roli* ma coś wspólnego.

3. ZAGADKA.

(Nadesłał Karol Baron z P.).

Litera w literze – wszyscy ludzie znają,
Bo one nas żywią i odzież nam dają.

4. ZAGADKA.

(Nadesłał Władysław Stefański z G.).

Pierwsze z trzeciem, to często suknie wyniszczają,
Po drugiem trzeciem zwinnie kozice skakają.
Całość to nasze wrogi, takie jak Krzyżaki,
Bo dobrze się Ojczyźnie dali już we znaki.

Za dobre rozwiązanie zagadek przeznaczamy w nagrodę, jak zwykle, oprawną książkę. Nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin nadsyłania rozwiązań do 1 października. — Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z numeru 36 *Roli:* 1. Zagadka: **Bób,** 2. Szarada: **Żarnówka,** 3. Łamigłówka: **Groch,** 4. Zagadka żartobliwa: **Młynarz wygrał, gdyż miał czarne na białem.**

Wierszem otrzymaliśmy następujące rozwiązania:

1.

Nie lubiał bobu jadać Roch,
Wolał z kapustą razem groch.
Rochowa grochu nie miała,
Na obiad groch mu podała.
Roch krzyczy: Babo grochu kup!
Dla mnie, a ty »se« zeżrej bób!
Rochowa drabas żarnówkę —
Daje Rochowi pucówkę —
Wali po grzbiecie, łup! łup! łup!
By mu naprawić smak na bób.
A drogą właśnie tym razem,
Idzie kominiarz z młynarzem.
Słysząc gwałt Rocha bitego,
Pędzą ku chacie, ku jego
Młynarz się potknął — gruch na brzuch,
Kominiarz na nim — kupa z dwóch!
Gdy się na ziemi gramolą,
Obaj nawzajem się smolą.
Proces — to mnie się tak zdaje,
Że go pan młynarz wygraje,
Bo on ma czarne na białem.
Choć dobrze rozwiązałem,
Nagrody nie dostałem.
Bo za fortunę mam biedę,
Bo jeszcze *Rola* na kredę!

Jantek z Bugaja.

2.

Bzdura wczoraj konie uwiązał u żłobu,
Gosposia mu dali duży garnek bobu,
Bo wiedzą, że Maciek ogromnie bób lubi,
Bo tak wprzód jak i wspak już mu się nie zgubi,
Lecz go dzisiaj gazda żarnówką grzmocili,
Za to, że się do wójtowej Kaśki bardzo mili.
Maciek z bolu krzyknął: »Ratuj święty Rochu!«
Biedak puścił, co miał w ręce pełny garnek grochu.
I tak się wszyscy ludzie z Maćka naśmiewają,
Chociaż sami dużo wad Maćkowych mają.

Karol Baron z P.

3.

Bób to roślina u nas uprawiana,
A przez lud biedny zwykle pożywana.
Ale chociaz bób jadam, jednak się odważę
Rozwiązywać zagadki, która się pokaże.
A do tego zachęca mnie sama nagroda,
Ale nie żarnówka Lipowiaka sroga.
On pewnie jej słodkości poczuł na swym grzbiecie
Inaczejby nie pytał Cechowego przecie.
Ale to wszystko fraszki, ja się pytam Ćwieka
Kiedy to »piękne« przyśle. O! bo Łojek czeka!
A chociaż zjem i grochu to mu nic do tego,
Byle mi przysłał zaraz co pięknego.
A jeżeli nie przyśle to w proces pójdziemy,
Jak młynarz z kominiarzem kłócić się będziemy.

Ja zaś będę młynarzem i wygram z pewnością,
Bo mąka to pieniądze sadza zaś nicością.
Jeżeli to nieprawda czytelnicy mili,
To proszę mi napisać, jak się pogodzili,
Chyba że ich rozsadził ten to Maciek Bzdura
No to już muszę przystać: Żyj mi Maciuś! hura!

Jan Łojek z R.

4.

Nad pierwszą szaradą miałem trochę bolu,
Co to za roślina, która rośnie w polu.
Ale ona rośnie także i w ogrodzie,
Wszak to bób, co nieraz dobrze w brzuchu bodzie.
Panie Lipowiak, ja wam mówie z góry,
Że jagem Maciek, syn starego Bzdury,
Żar jest wielki od ognia a w lecie od słońca,
Nów jest z początkiem albo w pół miesiąca,
»K« litera końcowa dużo nam oznacza,
Całość, żarnówka przy żarnach w koło się obraca.
A czasem i baba, gdy przyjdzie do złości
To przeciągnie chłopa, aż mu się gną kości
Lecz ta łamigłówka, ta mi dała w pięty,
Bo gdzie tu szukać litery, co po niej jest święty?
Lecz i tę rozwiążę, lecz tylko dlatego,
Że mam obiecane dostać coś pięknego.
A więc literę »G« często pierwej używamy,
A i Rocha do świętych przecież zaliczamy
Gdy napiszemy »G« a za nią Roch,
To będziemy czytać całe słowo Groch.
Groch jest roślina od ludzi lubiana,
W komorze lub spichlerzu na zimę schowana.
Teraz proszę o nagrodę Panie Redaktorze,
Bo łamigłówki to nikt nie rozwiąże.

St. Włodarczyk z O.

5.

Do innych z taką przymówką,
Że baby biją żarnówką!
U nas baba, zamiast się kłócić, woli
Coś pięknego przeczytać z ukochanej *Roli*.
Bo my tu między Rusinami
Czujemy jednak, żeśmy Polakami;
I Radę gminną wzorową
Mamy dopiero wybraną nową.
Z księdzem proboszczem na czele
Pracowitym w gminie i kościele.
Kasę Reiffeisena mamy
I czytelnię posiadamy,
Straż pożarna i Kółko rolnicze
Nie brakuje nam na niczem.
A to wszystko są mozoły
Pana kierownika szkoły:
On sam całą wieś oświecił,
Wszystko dobre we wsi wzniecił,
I to zrobi, gdy Pan Bóg pozwoli,
Że będzie u nas mnóstwo czytelników *Roli*,
Bo chociaż kto zajada bób i groch z kapustą,
To i w głowie powinien nie mieć nigdy pusto!

Wincenty Cechowy z P.

6.

Bób to roślina znana każdemu,
A nawet znana dziecku małemu.
Żarnówka przecie to jest obrona,
Gdy chłop ladaco a dobra żona.
Groch już w spichlerzu dawno zerżnięty
G. Jest litera a Roch jest święty.
Młynarz też wygrał, bo tak się dzieje
Czarne na białem jeszcze istnieje.

Leon Łętowski z S.

Oprócz tego rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali PP.: Władysław Ćwieka z T., Władysław Bąbaś z H., Władysław Stefański z H., Jan Bąbaś z S., Franciszka Andrusikiewicz z D., Tadeusz Stypa z T., Michał Dudek z Ż., Józef Witek z Ś., Józefa Hirszberg z K., Piotr Gródek z B., Adela Bezokówna z K. m., Piotr Lipowiak z L., Kaz. Szymański z P., Fr. Migdał z S., A. Kowalczyk z K.

Nagrodę p. t. ***Żołnierzyk burski*** wylosował **Kazimierz Szymański** z P.

Odpowiedzi Redakcyi.

PP.: Piotr Lipowiak w L.: Czekamy na przyobiecane wierszyki. — Stanisław Włodarczyk w O.: Mówi się: Mo-star, a nie: Most-ar. — Leon Łętowski w S.: Czek wysłaliśmy. — Jan Kaczak w K.: Zastosowaliśmy się do życzenia — pozdrawiamy serdecznie. — Jan Surma w K.: Wysyłamy najregularniej, więc dziwi nas mocno, dlaczego ginie. — Antoni Łuszczyński w J.: Wysyłamy dalej, lecz prosimy o przesyłkę energicznie się upominać, a jakich numerów Panu brakuje prosimy napisać. Prenumerata półroczna wynosi 2 K. — Kazimierz Szymański w P.: Mamy nadzieję, że Pan zadowolony — obyśmy i my byli zadowoleni. — Józef Witek w Ś.: Nie rozumiemy dobrze o jakie maszyny chodzi. Aby odpowiedzieć, musielibyśmy znać dokładnie cały przebieg sprawy. — Fr. Jurczyk w O.: Pismo swoje trzeba było najpierw dać przeczytać temu, kto gazetkę doręcza, a potem nie tak ostro, bo... gniew piękności szkodzi. Za cudzą winę jednak my przepraszamy. Zgoda?

W dalszym ciągu prenumeratę nadesłali PP.: Jan Grzesiak z W. (4 K.), Tomasz Olszowy z D. (4 K.), Jan Smyk z W. (4 K.), Jak Bąk z Z. (4 K.) J. Prych z N. (4 K.). W. Zapała z D. (2 K.), M. Lepiarz z J. (2 K.), St. Bieda z P. (1 K), Józef Bądek z P. (2 K.), Br. Frankówna z T. (2 K.), Fr. Żurek z T. (1 K. 34 h.).

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 20 września:

Buhaje	Kor.	180	do	400	za sztuk.:
Woły	„	200	„	300	„
Krowy	„	120	„	200	„
Jałówki	„	100	„	210	„
Cielęta	„	32	„	70	„
Owce i kozy	„	20	„	30	„
Świnie (bita waga)	„	160	„	172	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w dniu 20 września:

Pszenica	Kor.	9·50	do	10·	za 50 kg.
Żyto	„	6·80	„	7·25	„
Jęczmień	„	6·90	„	7·40	„
Owies	„	7·60	„	7·70	„
Otręby pszenne	„	4·60	„	4·75	„
Otręby żytnie	„	4·30	„	4·60	„

ZJEDNOCZONE AUSTRYACKIE TOWARZYSTWO ŻEGLUGI PAROWEJ

Austro-Americana

Regularna i  bezpośrednia

komunikacya z Austryi do **Ameryki północnej**: **(Stany Zjednoczone i Kanada)**; **do Ameryki południowej**: Argentyny, Brazylii i t. d.

w ruchu osobowym i towarowym zapomocą najnowszych, pierwszej klasy parowców o podwójnej śrubie.

Na parowcach aparaty telegraficzne bez drutu, systemu Marconiego.

ROZKŁAD JAZDY:

a) Z Tryestu do Nowego Jorku:

Alice	17 wrześ.
Martha Washington	24 wrześ.
Columbia	1 paźdz.
Laura	22 paźdz.
Oceania	29 paźdz.

b) Z Tryestu do Argentyny przez Rio de Janeiro:

Columbia	29 wrześ.
Argentyna	6 paźdz.
Sofia Hohenberg.	20 paźdz.

Informacyi udzielają i sprzedaż kart okrętowych uskuteczniają:

Dla zachodniej Galicyi i Bukowiny:

Kraków: Jeneralna Ajencya Austro-Americany
(Goldlust i Ska. Biuro spedycyjno-komisowe)
ulica Lubicz 7 naprzeciw dworca kolejowego.

Dla Galicyi wschodniej:

Lwów: Biuro pasażerskie Austro-Amerikany
Na Błonie 2. oraz wszystkie prowincyonalne ajencye, następnie

Tryest: Dyrekcya Austro-Amerikany, Via Molin Piccolo 2.

Wiedeń: Biuro pasażerskie Austro-Amerikany,
II. Kaiser Josefstr. 36. (79-9-24)

Przy zamówieniach prosimy powoływać się na ogłoszenia »Roli«.

Ja Anna Csillag

z moimi **185 centymetrów** długiemi **olbrzymiemi włosami Loreley**, dostałam je po **14 miesięcznem** użyciu **przezemnie wynalezionej pomady**. Uznano ją za jedyny środek przeciw **wypadaniu** włosów, **wzmożeniu wzrostu** tychże, wzmocnieniu skóry owłosionej, wywołuje **u Panów** pełny **silny zarost brody** i użycza już po krótkiem użyciu tak **włosom na głowie** jakoteż **na brodzie** naturalnego **połysku** i **obfitości** i chroni przed **przedwczesną siwizną** aż do najpóźniejszego wieku. Żaden inny środek nie posiada tyle materyi odżywczej dla włosów co pomada Csillag, która zupełnie słusznie zdobyła sobie światową sławę, gdyż Panie i Panowie już po użyciu pierwszego słoika pomady osiągają najlepszy skutek, ponieważ już po kilku dniach włosy nie wypadają a nowe rosną. (67—16-30)



Cena słoika 2 K., 4 K., 6 K., i 10 K. Pocztowe przesyłki codziennie po nadesłaniu należytości, albo **za zaliczką** na cały świat z mojej fabryki, dokąd nadsyłać zamówienia.

Anna Csillag, Wien I. Kohlmarkt 11.

Karty okrętowe!

POLSKIE TOWARZYSTWO EMIGRACYJNE otrzymawszy od rządu potrzebną koncesyę, otworzyło w Krakowie **ul. Radziwiłłowska Liczba 21 (dom własny)** własne

BIURO PODRÓŻY

gdzie sprzedawane są karty okrętowe do wszystkich portów zamorskich, północnej i południowej **AMERYKI**. Wychodźcy, zwracający się do tego biura, otrzymają rzetelną poradę i unikną wyzysku i strat.

Założone dla opieki nad wychodźcami Polskie Tow. Emigracyjne w Krakowie ułatwia znalezienie pracy w kraju i zagranicą i w tym celu utrzymuje bezpłatne biuro pośrednictwa pracy; opiekuje się ono także wychodźcami, udającymi się za morze, pouczając ich, kiedy, jak, którędy i dokąd jechać należy, i w tym celu utrzymuje bezpłatne biuro informacyjne w sprawach wychodźtwa zamorskiego i koncesyonowane biuro podróży; dla Polaków przebywających na obczyźnie utrzymuje przy głównem swem biurze bezpłatną wypożyczalnię książek; wydaje własną gazetę, poświęconą sprawom wychodźtwa p. t. »Polski Przegląd Emigracyjny«; utrzymuje bezpłatne biuro porady prawnej dla wychodźców ułatwia im nabywanie książek, wypisywanie gazet, zakładanie towarzystw oraz załatwianie rozmaitych spraw w kraju, utrzymuje własne biura za granicą, wydaje przewodniki po obcych krajach i słowniki cudzoziemskich języków, ułożone dla użytku polskich robotników itd. itd. P. T. E. jest instytucyą bezpartyjną, mającą na celu wyłącznie dobro polskiego społeczeństwa i polskich wychodźców. Kto więc udaje się na obczyznę lub wyjeżdża do Ameryki, powinien przedewszystkiem zwrócić się do

Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego
w Krakowie, ul. Radziwiłłowska 21. 60-13

(Na dworcu kolejowym krakowskim stale przebywa przy nadejściu pociągu wysłaniec Towarzystwa w uniformie z literami P. T. E).



F. PAMM

KRAKÓW, ulica Zielona L. 3/38.

Męski ankr. remontoir

z portretem Kościuszki, Mickiewicza, lub z godłem polskiem, bardzo dobrze idący, na minutę wyregulowany kor. 3·90. Na żądanie wysyłam darmo i opłatnie katalog ilustruwany zegarów, zegarków, wyrobów jubilerskich z chińskiego srebra, przyborów i narzędzi zegarmistrzowskich i towarów muzycznych.



HARMONIKA

z 8-ma klawiszami, pięknie wykonana kor: 2·90, w dużym formacie z 10-ma klawiszami i 2-ma rejestrami kor. 7, z 3-ma rejestrami i klawisze z perłowej macicy kor. 9·60. 75-14-28

Towarzystwo Wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie
założone w roku 1860

Przyjmuje ubezpieczenia

od ognia, gradu i na życie.

Fundusze gwarancyjne z końcem r. 1908:

52,623.733 Koron

Siedziba Dyrekcyi Towarzystwa w Krakowie.

Reprezentacye: we Lwowie, Czerniowcach i Bernie.
Sekcye: w Przemyślu, Rzeszowie, Stanisławowie i Tarnopolu, ponadto przeszło 400 Agencyi w różnych miejscowościach kraju. 57—29

Księgarnia Wojnara

W KRAKOWIE

posiada na składzie wielki wybór dzieł powieściowych, historycznych, rolniczych, prawniczych i t. p.

tudzież **NUTY** również w wielkim wyborze.

Główny skład wydawnictw ludowych, książek do nabożeństwa, kalendarzy.

Katalogi wysyła się darmo i opłatnie.

Księgarnia poleca szczególnie nowe dziełko:

„Polska i Krzyżacy“

przez Czesława Pieniążka, str. 138, rycin 8.

Cena 80 h., w ozdobnej oprawie 1 K. 10 h.

Adres zamówień: 52—24

Księgarnia WOJNARA w Krakowie.

ulica Szewska L. 20/2.

Matka: Żebyś to tak dzielnie się uczył, jak dzielnie zajadasz.

Syn: W jedzeniu ćwiczę się od urodzenia, a uczę się dopiero trzy lata.

Nauczyciel: Jak się nie poprawisz, to ojca przyprawisz o siwiznę.

Uczeń: Tatuś nie osiwieją, bo są przecież łysi.

— Powiedz malutka, kto u was we wsi jest najstarszy.

— Proszę łaski pana, był jeden taki, ale umarł przed tygodniem.

Galicyjski Bank Ziemski w Łańcucie

poleca kupno gruntów w następujących majątkach:

KOŁOKOLIN

wieś w powiecie rohatyńskim, 480 morgów urodzajnej roli o położeniu cokolwiek pagórkowatem, oraz łąk. — Cena gruntów wynosi 700 do 800 koron za mórg. W Kołokolinie znajduje się fabryka gipsu i cementu, oraz kopalnie alabastru i marmuru. — W oddalonym o 1 km. Żurowie znajduje się kościół rzym.-kat. i szkoła polska. Do około kolonie w Bukaczowcach, Czerniowie, Żurowie i Łukawcu żurowskim. W Bukaczowcach oddalonych o 7 klm. znajduje się stacya kolei żelaznej oraz urząd pocztowy i telegraficzny. Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie a delegat Banku na miejscu w Kołokolinie.

ŁUŻNA

wieś w powiecie Gorlice, oddalona o 1 klm. od stacyi kolej. Wola łużańska. W Łużnej znajduje się kościół parafialny, szkoła i posterunek żandarmeryi. Do nabycia są grunta orne, łąki i las. Grunta orne przeważnie drenowane, na których udają się wszelkie gatunki zboża i roślin okopowych. Cena za grunta orne i łąki od 1000 koron za mórg, cena za las począwszy od 300 kor. za mórg. W lasach Łużnej znajduje się również budulec. — Na miejscu udziela wyjaśnień zarządca gospodarczy, a delegat Banku uprawniony do sprzedaży gruntów i odbioru pieniędzy przyjeżdża we wtorek każdego tygodnia do Łużnej.

MOŚCISKA MIASTO

stacya kolejowa oddalona o 4 kilometry, a w miejscu: starostwo, rada powiatowa, sąd powiatowy, urząd podatkowy, pocztowy i telegraficzny, dwa kościoły rzymsko-kat. i szkoły polskie. — Gleba pszenna pierwszorzędnej jakości. Do nabycia grunta orne, położone przy samem mieście, dwukośne łąki i place budowlane. Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie.

OLESZA i SAWAŁUSKI

wsie w powiecie buczackim, 660 morgów roli, łąk i lasów. Glebę stanowi urodzajny czarnoziem, na którym uprawiają tytoń, oraz wszelkie gatunki zboża i roślin okopowych. Cena gruntów wynosi 600 do 1000 koron za mórg.
Sawałuski oddalone o 5 klm. a Olesza o 9 klm. od miasteczka Monasterzyska, w którem znajduje się sąd powiatowy, urząd podatkowy, stacya kolei żelaznej, kościół rzymsko-katolicki, szkoła polska, urząd pocztowy i telegraficzny, oraz fabryka tytoniu zatrudniająca tysiąc kilkaset robotników i robotnic.
Parafia rzym.-kat. i szkoła polska znajdują się także w Kowalówce, przytykającej do Oleszy.
Zgłoszenia przyjmuje Bank ziemski w Łańcucie a delegat Banku na miejscu we dworze. 80—13

OTTYNIA

miasteczko w powiecie tłumackim, 760 morgów urodzajnych ról i słodkich dwukośnych łąk są do nabycia w cenie po 800 do 1400 koron za mórg.
W Ottynii znajduje się fabryka maszyn rolniczych Bredta. — Prócz tego znajdują się w miejscu: Sąd powiatowy, urząd podatkowy, stacya kolei żelaznej, parafia rzym.-katol., kościół, szkoła polska, oraz urząd pocztowy i telegraf.
Bliższych szczegółów i informacyi udziela codziennie zarządca gospodarczy, który mieszka we dworze w Ottynii.

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor:** Antoni St. Bassara.
Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.